

**BARBARA WILSON**

**NIE DO POBICIA**

Tytuł oryginału

*HEARTSTRINGS*

## ROZDZIAŁ 1

Pamiętam, jak pomyślałam, że ten dzień zbliża się do ideału. Wszystko układało się wspaniale. A przynajmniej tak mi się zdawało, dopóki nie okazało się, że rodzice postanowili zrujnować mi życie.

Już słyszę, co powiedziałyby mama: „Nie przesadzasz przypadkiem, Tess?” I to mówi autorka romansów, które po prostu nurzają się w melodramacie! Jeśli mam skłonności do przesady - a pewnie tak jest - to musiałam je po kimś odziedziczyć, prawda?

Ale wróćmy do mojego idealnego dnia. Był środek maja; dzikie jabłonie w całym mieście stały w obłokach różowych i białych kwiatów. Rok szkolny w liceum Glena Foresta dobiegał końca i wszędzie panował ten uroczysty nastrój oczekiwania na wakacje. Już teraz planowaliśmy wraz z przyjaciółmi nasze letnie wyprawy pływania w jeziorze Michigan, buszowanie w sklepach, obejrzenie wszystkich dobrych filmów i wysłuchanie koncertów rockowych. Miało być wspaniale, wspaniale, wspaniale!

W dodatku miałam fantastyczne stopnie. Z historii dostałam szóstkę z plusem, a pani Potter - nauczycielka angielskiego - powiedziała, że zgłosiła jedno z moich opowiadań na stanowy konkurs literacki. Naturalnie byłam nieprzytomna z podniecenia.

Ale najwspanialsze wydarzenie tego dnia miało miejsce na próbie chóru. Muzyka zawsze była najważniejszą rzeczą w moim życiu. Rodzice pochwalali te ambicje. Posyłali mnie na lekcje śpiewu, fortepianu, a kiedy skończyłam jedenaście lat i postanowiłam zostać gwiazdą rocka - także gitary.

Oczywiście szkolny chór niewiele miał wspólnego z występami Madonny, ale zawsze należał do moich ulubionych zajęć. Kiedy tego dnia zjawiłam się na próbie, wokół tablicy ogłoszeniowej kłębił się tłum uczniów. Moja przyjaciółka Melissa podbiegła do mnie, strasznie przejęta.

- Tess, dostałaś się do Melo - fanów!

Byłam tak szczęśliwa, że miałam ochotę śpiewać, całkiem jak na tych starych sentymentalnych filmach. Melo - fani, reprezentacja całego chóru, występowała na wszystkich uroczystościach. A ponieważ do tego zespołu dostawali się tylko najlepsi, był to dla mnie ogromny zaszczyt. Ten rok zapowiadał się na najwspanialszy w moim życiu!

A kiedy pomyślałam, że nie może mnie już spotkać nic lepszego, na horyzoncie pojawił się Michael Wright i powiedział:

- Cześć, Tess. Jesteś wśród nas. Witaj w klubie! Zdołałam wykrztusić tylko „Dzięki, Michael”. Muszę wyjaśnić, że Michael Wright jest najprzystojniejszym chłopakiem w całej

szkole, a poza tym ma wspaniały głos. Teraz, kiedy znalazłam się wśród Melo - fanów, Michael będzie musiał mnie poznać. I niewykluczone, że zakocha się we mnie bez pamięci.

Ta cudowna wizja stała mi przed oczami przez cały dzień, a także w drodze do domu. Siedząc w autobusie szkolnym, sunącym przez znajome podmiejskie ulice, doszłam do wniosku, że istnieje jednak sprawiedliwość, a świat zmierza we właściwym kierunku. Teraz do szczęścia brakowało mi tylko własnego samochodu i byłam pewna, że wkrótce uda mi się przekonać rodziców, żeby mi go kupili. W końcu prawo jazdy dostałam już miesiąc temu!

Zbliżając się do domu, ze zdziwieniem zauważyłam samochód taty. Było to dość niezwykle zjawisko, ponieważ do tej pory tato chyba nigdy nie dotarł do domu przed siódmą wieczorem. Mój ojciec jest prawdziwym, zżeranym przez ambicję yuppie. W wieku zaledwie trzydziestu siedmiu lat został wicedyrektorem firmy Słodkie Okruszki. Pewnie słyszeliście już o Słodkich Okruszkach. Choć na rynku są nowi, przez kilka ostatnich lat dali niezły wycisk konkurencji. Być może nie mam racji, ale wydaje mi się, że tato miał z tym coś wspólnego.

Ruszyłam w stronę domu. Byłam ciekawa, co spowodowało tatę tak wcześnie do domu. Nagle pomyślałam z przerażeniem, że tylko jakieś nieszczęście mogło wygonić go z firmy o tej porze. Zaczęłam wyobrażać sobie różne straszne rzeczy. Wpadłam na ganek; boczne drzwi był) zwykle otwarte. Potem zobaczyłam rodziców i stanęłam jak wryta. Uśmiechnięty od ucha do ucha tato leżał wygodnie w fotelu z kieliszkiem wina w dłoni. Poczułam ogromną ulgę.

- A oto i nasza Tess! - powiedział, jakby mój widok niezwykle go ucieszył. - Wreszcie w domu po ciężkim dniu pracy!

Rzuciłam książki na stół, usiadłam i uśmiechnęłam się.

- Owszem, było ciężko. Co ci się stało, tato? Co robisz w domu? Chyba cię nie wyrzucili, co?

Żartowałam, ale rodzice szybko wymienili między sobą spojrzenia i nagle poczułam nerwowy dreszcz. Popatrzyłam najpierw na jedno, potem na drugie.

- Dajcie spokój, co jest? Mama uśmiechnęła się do mnie.

- Tato ma dla nas dobrą nowinę, Tess.

- No właśnie - powiedział tato, nieco zbyt serdecznie. - Naprawdę dobrą nowinę. Ale, widzisz... Jest też druga strona medalu.

Czasami rodzice potrafią doprowadzić człowieka do szaleństwa! Pokręciłam głową.

- Co to za dobra nowina? Tato pociągnął łyk wina.

- Słodkie Okruszki otwierają nową filię na południu i zostałem mianowany jej dyrektorem.

Mieliście kiedyś wrażenie, że niebo wali się wam na głowę? Ja właśnie tak się poczułam.

- Wiem, że to dla ciebie wstrząs... - ciągnął tato.

- Wstrząs? - powtórzyłam za nim jak echo. - Będziesz dyrektorem filii na południu? Na południu czego? Tinley Park?

Tato stłumił chichot.

- Wybacz, kochanie. Nie mówię o południowej stronie miasta. Chodzi mi o południe kraju. O Kentucky.

- Kentucky? - spytałam z niedowierzaniem. - Czy to znaczy, że mamy się przeprowadzić?

- Niestety tak. Bardzo mi przykro, że musisz zosta wic przyjaciół i szkołę...

- To czemu mnie do tego zmuszasz? - zawołałam żałośnie.

- Przepraszam, dziecinko, ale nie mamy wyboru. Ta wspaniała okazja po prostu spadła nam z nieba. W Kentucky wystawiono na sprzedaż nową fabrykę, idealną dla naszego przedsiębiorstwa. Będziemy mogli rozpocząć produkcję już jesienią.

Jesienią! Wszystko nagle straciło sens. Mój cudowny dzień, pełen tyłu obietnic na przyszłość, uleciał jak złoty sen.

- Kiedy zamierzacie się przeprowadzić? - spytałam ponuro, jak skazaniec dowiadujący się o datę własnej egzekucji.

- No cóż, wystawiamy dom na sprzedaż od razu - rzekł tato.

Zrobiło mi się słabo. Chciał sprzedać jedyny dom, jaki miałam!

Mama podeszła do mnie i położyła mi rękę na ramieniu.

- Wiem, że trudno będzie ci stąd wyjechać. Ja też kocham ten dom.

Nie mogłam spojrzeć jej w oczy, bo bałam się, że wybuchnę płaczem.

- Więc gdzie to ma być? - mruknęłam naburmuszona.

- To małe miasteczko. Nazywa się Blossom Creek - wyjaśnił tato.

- Blossom Creek? - powtórzyłam z niedowierzaniem. - Pewnie jakaś zapyziała prowincja. Mam chodzić do liceum dla wieśniaków?

Tato stracił cierpliwość.

- Przestań tak zadzierać nosa, dziecino. To miłe miasteczko, a ludzie są tam naprawdę życzliwi. Wiem, że przywykłaś do czego innego, ale to tylko godzina drogi do Louisville. Nadal będziemy mieszkać w pobliżu miasta.

- Tato chciał, żebyśmy kupili parę akrów ziemi, Tess. - Mama wyraźnie przeszła na stronę miłośników Blossom Creek.

- Jak mogliście mi to zrobić? - krzyknęłam; moje oszołomienie przerodziło się w nagły gniew. - Jak mogliście zabrać mi szkołę, przyjaciół... Wszystko!

- Kochanie... Wiem, że się zdenerwowałaś, ale na prawdę nie będzie aż tak źle - uspokajała mnie mama. Trochę tak, jak pielęgniarka, która obiecuje, że nic nie poczujesz, a potem dźga cię wielką igłą.

- Nie będzie? - wrzasnęłam. - To miał być mój najlepszy rok, a wy każecie mi się przenieść do jakiejś ohydnej dziury w Kentucky! Moje życie legło w gruzach!

Wypadłam z ganku jak strzała; jednym skokiem znalazłam się na schodach. Wiedziałam, że rodzice zostawią mnie na jakiś czas w spokoju. I dobrze, pomyślałam. Mam nadzieję, że czują się teraz winni jak nie wiem co. Tylko że to nie miało już żadnego znaczenia. Przeprowadzaliśmy się do Kentucky, i nic nie mogło tego zmienić.

Wpadłam do swojego pokoju, rzuciłam się na łóżko i wybuchnęłam płaczem.

Moje ostatnie dwa tygodnie w liceum Glana Foresta dobiegły końca. Zamiast wariować ze szczęścia na myśl o oczekującym mnie lecie, pogrążyłam się w głębokiej depresji. Oczywiście przyjaciele starali się podtrzymać mnie na duchu. Byli zrozpaczeni, że się przeprowadzam. Obiecali, że będą pisać i dzwonić, i kazali mi odwiedzić ich, jak tylko zdołam się wyrwać. To poprawiło mi humor na jakieś pięć minut.

W domu także obnosiłam się z ponurą miną. Godzinami przesiadywałam w swoim pokoju i przeklinałam los zsyłający mnie na bezludzie, a ściśle mówiąc - do Blossom Creek. Kiedy rodzice pytali mnie o szkołę czy kolegów, odpowiadałam monosylabami. Musiałam zachowywać się nieznośnie, ale tylko uzalanie się nad sobą dawało mi odrobinę pociechy.

Tato spędzał mnóstwo czasu w Kentucky, zostawiając sprzedaż domu na głowie mamy. Ona też była mocno podenerwowana: musiała skończyć powieść, sprzedać dom i znieść moje humory. Nie oszalała chyba tylko dzięki marzeniom o naszym nowym domku na wsi.

I ona, i tato zapadli na ostry przypadek wiejskiej gorączki. Jeśli chodzi o mnie, uważałam się za dziewczynę z miasta, a przynajmniej z przedmieścia. Owszem, lubiłam wyjeżdżać w czasie wakacji na łono natury, ale nie miałam najmniejszej ochoty siedzieć w tych chaszczach przez okrągły rok! Wołałam mieszkać w pobliżu Chicago. Miałam wrażenie, że jestem częścią tego ekscytującego i potężnego świata pełnego przygód. Wątpiłam, żeby w Blossom Creek mogły mnie spotkać jakieś przygody.

Rok szkolny dobiegł końca, a po naszym domu zaczęły buszować hordy ludzi, których przyprawdzał agent handlu nieruchomościami. W miarę jak płynęły letnie dni, a na horyzoncie nie pojawiał się żaden nabywca, tato zaczął tracić nadzieję na szybką sprzedaż

domu. Natomiast ja, otoczona przyjaciółmi, odzyskałam dobry humor. Może w ogóle nie pojawi się żaden chętny? Wtedy będziemy musieli zostać, a ja wrócę do liceum Glana Foresta. Oczywiście kursowanie między domem i Kentucky sprawi tacie nieco kłopotów, ale na pewno jakoś wytrzyma, dopóki nie zrobię matury. W sierpniu ostatecznie uwierzyłam we własne szczęście i wtedy właśnie agent przyprowadził pewne młode małżeństwo z dzieckiem. Kiedy tylko ich ujrzałam, wiedziałam, że to koniec. Kobieta bez przerwy pomrukiwała do siebie: „Cudowne! Niesamowite!”, jej mąż uśmiechał się głupkowato i kiwał głową, a dziecko jęczało bez przerwy: „Kiedy wreszcie coś zjemy?” Byłam szczęśliwa, kiedy w końcu wyszli, żeby mały mógł sobie napchać brzuszka. Tylko że przez cały dzień nie mogłam się pozbyć przeczucia, które przyprawiało mnie o mdłości. I oczywiście o dziewiątej zadzwonił agent, by oznajmić, że małżeństwo jest skłonne zapłacić żadaną cenę.

Załamalam się; natomiast mama wpadła w ekstazę i natychmiast zadzwoniła do taty, który siedział w Kentucky. Teraz zaczęli się martwić, czy uda im się przed końcem wakacji wynająć dom w Blossom Creek.

Aż wreszcie pewnego wieczoru zadzwonił tato i mama niesamowicie się ożywiła.

- Jest staw? - spytała, uśmiechnięta od ucha do ucha. - I derenie, i krzaki róż? Ogród jest już skopany? Och, Dick, to cudownie!

Nie mogłam znieść tych ochów i achów, więc poszłam do kuchni, wzięłam ogromniastą porcję miętowych lodów z czekoladą i spróbowałam zamrozić moje smutki. Potem wróciłam do pokoju, gdzie zajęłam się słuchaniem ulubionych kompaktów.

Po pewnym czasie do drzwi zapukała mama.

- Tess?

Weszła do środka, a ja musiałam spojrzeć na nią straszonym wzrokiem, bo westchnęła i pokręciła głową.

- Przystaniesz wreszcie panikować? To się zaczyna robić męczące.

- A co, mam skakać z radości? Ty i tato macie to, o co wam chodziło, więc hip hip hura! - powiedziałam sarkastycznie.

- Tess, naprawdę mi przykro. Szkoda, że to wszystko zdarzyło się, zanim skończyłaś szkołę, ale tak to już jest.

- To miał być taki cudowny rok! - Westchnęłam żałośnie.

- Wiem, słonko. To musi być dla ciebie straszny zawód, zwłaszcza że dostałaś się do Melo - fanów. Ale możesz wstąpić do szkolnego chóru w Blossom Creek. Jesteś taka mądra, córeczko, i taka zdolna. Poradzisz sobie wszędzie, gdzie tylko zechcesz.

Miałam ochotę na jakąś uszczypliwą uwagę, ale zauważyłam entuzjastyczny wyraz

oczu mamy i zrobiło mi się jej żal. Może za bardzo się na nią wściekałam - w końcu przeprowadzaliśmy się przez tatę.

Zdobyłam się na słaby uśmiech.

- Nie martw się, mammo. W Blossom Creek nie będzie pewnie aż tak źle, jak mi się wydaje.

- Oto prawdziwie pozytywna myśl - zauważyła rozpromieniona mama. - A tata znalazł dla nas wspaniały dom!

Staralam się wyglądać na zainteresowaną jej entuzjastycznymi opowieściami o urokach naszego nowego domu w Kentucky, ale w głębi serca czułam, że już teraz go nienawidzę.

## ROZDZIAŁ 2

Wczesnym rankiem pewnego przeraźliwie upalnego sierpniowego poranka pod nasz dom podjechała wielka ciężarówka. Robotnicy wbiegali i wybiegali z domu, przenosząc meble i pakunki z zadziwiającą szybkością i wprawą. Tato zamierzał ich dopilnować, a dopiero potem ruszyć w drogę. Tę noc planowaliśmy spędzić w Louisville; następnego dnia mieliśmy przekroczyć próg nowego domu.

Wreszcie ciężarówka z naszym dobytkiem ruszyła i odjechała. W oczach zakręciły mi się łzy, pociągnęłam żałośnie nosem. Zanim włożyłam ciemne okulary, rozejrzałam się wokół po raz ostatni. Potem szybko zajęłam miejsce na tylnym siedzeniu samochodu.

- No cóż - odezwał się tato. Wyglądał jakoś nieswojo. - Chyba pora już na nas.

W mgnieniu oka przekroczyliśmy granicę Indiany; mknęliśmy na południe międzystanową autostradą 65. Na obiad zatrzymaliśmy się w Indianapolis. Dotarcie do Louisville zajęło nam tylko parę godzin. Noc spędziliśmy w luksusowym hotelu z widokiem na rzekę. Spojrzałam przez okno na migające do mnie z oddali światła na drugim brzegu i westchnęłam. Może nie byłabym taka nieszczęśliwa, gdybyśmy się przeprowadzali do Louisville. W końcu to także miasto, chociaż niewielkie. Ale przynajmniej była tu cywilizacja: sztuka, kultura, supermarkety... A Blossom Creek? Jeśli mi się poszczęści, będę mogła chodzić do jedynej w tej dziurze kina, a właściciel podupadającego sklepiku będzie się nazywać Floyd albo jakoś podobnie.

Następnego dnia zjedliśmy śniadanie i ruszyliśmy do Blossom Creek. Wkrótce krajobraz zaczął się zmieniać: pojawiły się wzgórza i pojedyncze punkty drzew. Trafiło się także parę rozwichrzonych pól kukurydzy i jakichś tam innych upraw, a zwłaszcza długie zagony dużych zielonych liści - tato twierdził, że to tytoń. Wreszcie autostrada zaczęła skręcać. Przed nami pojawiła się wieża ciśnień oraz zabudowania, mogące uchodzić za miasto. Ukazał się także drogowskaz z napisem: BLOSSOM CREEK, 5200 mieszkańców.

Właśnie tego się obawiałam. Owszem, od czasu do czasu trafiała się jakaś oznaka cywilizacji, na przykład McDonald's na rogu czy wypożyczalnia kaset wideo. Ale nie dało się ukryć, że było to zwykle, dość obskurne miasteczko; po głównej ulicy kręciła się niezwykła ilość furgonetek.

- Zatrzymamy się na stacji benzynowej - postanowił tato. - Meble pewnie już dotarły na miejsce.

Stanęliśmy przed pompami benzynowymi, które wyglądały na zabytek klasy zerowej. Ojciec wysiadł z samochodu i rzucił mi przez ramię:



- Może byś przetarła szybę, Tess?

Wygramoliłam się naburmuszona i rozejrzałam się za jakąś szmatą, ale nic w okolicy nie nadawało się do tego celu.

- Tutejsze obyczaje chyba zabraniają posiadania czystych szyb - powiedziałam kwaśno.

Tato użerał się z pompą. Obok nas przystanęła przerdzewiała ciężarówka; z jej okien buchała przeraźliwie głośna muzyka country. Drzwi samochodu otworzyły się i wyskoczył z nich brodaty gość w kowbojskim kapeluszu i wojskowej kurtce. Ruszył w kierunku stacji.

- Tylko słodki popcorn, dzióbku? - wrzasnął odwracając się do ciężarówki.

W oknie pojawiła się głowa kobiety.

- I Milky Way, Curtis! - odwrzasnęła równie głośno. Po chwili Curtis wrócił, obładowany zakupami, usiadł za kierownicą i ruszył przed siebie jak błyskawica.

- Tato - odezwałam się z rozpaczą. - Dlaczego nas tu przywiozłeś?

Ojciec przestał szarpać się z pompą i zmarszczył brwi.

- Posłuchaj mnie, Tess. Polubisz to miasto, naprawdę. Jesteś tu zaledwie trzy minuty.

- Nie zmienię zdania nawet po trzech wiekach! - krzyknęłam. - Nienawidzę tego miejsca! Zawsze go nienawidziłam! Blossom Creek to kompletna wiocha!

Jeszcze nie skończyłam mówić, a już doznałam okropnego uczucia, że nie tylko tato mnie słyszy. I rzeczywiście, kiedy się rozejrzałam, zauważyłam stojącego obok nas wysokiego i chudego chłopaka. Był chyba w moim wieku i miał rozwichrzone ciemne włosy i błękitne oczy. Te oczy mierzyły mnie spojrzeniem pełnym skrytej wrogości. Nagle zapragnęłam zapaść się pod ziemię.

Chłopak minął mnie jak powietrze i podszedł do taty.

- Problemy z pompą? - spytał z miękkim, przeciągłym akcentem.

Tato skinął głową.

- Nie mogę poruszyć rączką. Chłopak grzotnął pompę z rozmachem.

- Ostatnio zaczęła się zacinać - wyjaśnił i wrócił na stację benzynową.

- Zrobiłaś znakomite pierwsze wrażenie - powie dział cicho tato, napełniając bak. -

Ten chłopak na pewno ucieszył się słysząc, jaki to z niego wieśniak.

Wsiadłam do samochodu; gnębiło mnie poczucie winy.

- O co poszło? - spytała mama.

- O nic - mruknęłam.

Kiedy tato skończył z benzyną, poszedł na stację. W drzwiach spotkał się z ciemnowłosym chłopakiem. Patrzyłam na niego, kiedy przyjmował od taty pieniądze i

wydawał mu resztę. Ciągłe był tak samo ponury. Gdy spojrział na nasz samochód, schyliłam się.

Po chwili wrócił tato, przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszyliśmy dalej.

Nasz nowy dom znajdował się jakieś trzy kilometry za miasteczkiem. Przez całą drogę usiłowałam zapomnieć o chłopcu ze stacji benzynowej i skoncentrować się na nowym otoczeniu. Musiałam niechętnie przyznać, że okolica jest piękna. Kiedy dotarliśmy do wiejskiego mostu na szerokim strumieniu, tata odezwał się:

- Oto Blossom Creek. Widzicie tamto wzgórze po prawej? To nasza ziemia.

Niespodziewanie poczułam jakieś dziwne podniecenie. Nabrałam ochoty, by zobaczyć swój nowy dom. Po jednej stronie obsadzonej drzewami drogi zauważyłam jakieś druciane ogrodzenie, co parę metrów obwieszane wielkimi napisami „Wstęp wzbroniony”.

- Kto tu mieszka, tato? - spytałam. - Nie jest usposobiony zbyt przyjaźnie.

- Tej sąsiadki jeszcze nie widziałem - oznajmił tato. - To starsza pani, Mary McConnell, ale wszyscy nazywają ją Szalona Mary.

- Świetnie. - Westchnęłam. - Więc mieszkamy drzwi w drzwi z psychopatką?

- Jest zupełnie nieszkodliwa. Po prostu ma swoje dziwactwa. Żyje w odosobnieniu, jak pustelnica.

- Małe miasteczka zawsze mają swoich ekscentryków - dodała mama.

Sąsiedztwo pustelnicy zaintrygowało mnie. Zwykle ludzie, którzy wiodą samotne życie, przeżyli jakąś tragedię. Zastanawiałam się właśnie, jakie nieszczęście zaciążyło nad życiem Szalonej Mary, kiedy tato przerwał moje rozmyślenia.

- Proszę - powiedział dumnie, skracając w wąską dróżkę. - Jesteśmy na naszej ziemi.

Przejechaliśmy przez gęsto zadrzewiony teren, potem minęliśmy dolinę, mieniącą się żółtymi i purpurowymi punkcikami polnych kwiatów. Za doliną naszym oczom ukazał się fantazyjnie zbudowany dom z ogromnym gankiem, a za nim - porośnięte drzewami wzgórze. Byłam gotowa znienawidzić wysniony dom rodziców od pierwszego wejrzenia, ale nagle okazało się, że nie mogę się na to zdobyć. To miejsce było zbyt piękne.

- Może być - odezwałam się niepewnie, a rodzice uśmiechnęli się do siebie.

Tato podjechał pod dom i wyłączył silnik.

- Proszę za mną. Będę waszym przewodnikiem.

Wewnątrz dom był dokładnie tak samo zachwycający. Były tu dębowe podłogi, wielkie okna i cudownie kręcone drewniane schody.

- Pomyśleliśmy, że to mógłby być twój pokój - powiedziała mama, kiedy doszliśmy do końca korytarza na piętrze.

Weszłam do dużego, słonecznego pomieszczenia i wyjrzałam przez jedno z okien. Widok był bajkowy. Tato spojrzał na mnie z nadzieją.

- I co?

- Może być, - Usiłowałam zachować spokój. Ale już teraz zastanawiałam się, jak ustawię tu swoje rzeczy. Przynajmniej będę cierpieć w ładnym otoczeniu, pomyślałam.

Zaraz potem zjawiała się ciężarówka z naszym dobytkiem i zbiegliśmy na dół, żeby przypilnować robotników.

Następne półtora tygodnia minęło nam zaskakująco szybko na ustawianiu i porządkowaniu wszystkiego. Mnóstwo czasu spędzałam wisząc na telefonie. Opowiadałam Melissie i innym przyjaciółkom o moim wygnaniu.

Zaczęłam lubić to miasteczko, i nic nie mogłam na to poradzić. Ale wkrótce musiałam stawić czoło konieczności pójścia do nowej szkoły i spotkania z tubylcami. W miarę upływu czasu bałam się coraz bardziej. Widziałam już szkołę, kiedy jechałyśmy z mamą do sklepu. Był to nowiutki ceglany budynek na obrzeżach miasta - nie chyląca się ku upadkowi ruina, jaką spodziewałam się ujrzeć, ale i nie liceum Glana Foresta. Niestety.

Tato spędzał większość weekendów w nowej fabryce; mama zamknęła się w pracowni na piętrze, gdzie z oszalałą szybkością pisała na komputerze. Byłam zdana sama na siebie i z każdą chwilą czułam się coraz gorzej. Nawet gra na gitarze nie pomagała mi zapomnieć, że oderwano mnie od przyjaciół, domu, chóru... Wszystkiego, co miało dla mnie znaczenie.

Pewnego dnia wybrałam się na spacer w nadziei, że znajdę jakąś rozrywkę. Ścieżka zaprowadziła mnie nad staw za domem. Ruszyłam wzdłuż piaszczystej drogi, biegnącej obok zarośniętego pastwiska. Kiedy weszłam między drzewa, zauważyłam małą ścieżkę. Weszłam na nią, czując się jak zdobywca dzikich łądów. Nagle coś przykuło moją uwagę.

Na konarze potężnego dębu znajdowało się coś, co bardzo przypominało domek. Teraz była to zwykła, zaniedbana platforma z kilkoma deskami po bokach i wyciętymi w nich oknami, ale kiedyś musiała stanowić dumę jakiegoś dziecka.

Podeszłam do drzewa i zaczęłam niezgrabnie wspinać się po szczeblach, przybitych do pnia drzewa. Dotarłam na platformę, położyłam się na niej na wznak i spojrzałam w górę. Przez liście padały przesiane promienie słońca. Uśmiechnęłam się, wspominając wierzbę, rosnącą na podwórku za naszym dawnym domem.

Nagle usłyszałam jakiś dźwięk. Wyjrzałam przez jedno z okien. Jakiś wielki brązowy pies o obwisłych policzkach węszył wzdłuż ścieżki. Stał u stóp dębu, oparł się łapami o jego pień i zaczął głośno ujadać.

- Samson! - rozległ się jakiś głos. - Co ty wyprawiasz?

W polu mojego widzenia pojawiła się starsza kobieta w dzinsach i luźnym podkoszulku. Była wysoka i krzepka, a jej długie siwe włosy przypominały nieporządne ptasie gniazdko.

- Co za biedny huncwot padł znowu twoim łupem, ty niedobre zwierzę? - powiedziała ciepło i spojrzała na mój domek.

Wstałam i wychyliłam się ku niej.

- Dzień dobry. To chyba ja jestem tym huncwotem.

Wyraz twarzy kobiety zdradzał zarazem zdziwienie i gniew.

Co ty tam robisz? Złaż natychmiast! Niezdarnie zesłam po szczebelkach. Kiedy stanęłam na twardym gruncie, pies zaczął mnie obwąchiwać.

- Zostaw ją, Samson - rozkazała ostro kobieta, a pies pociągnął jeszcze raz nosem i schował się za swoją panią. - Nie wiesz, że to teren prywatny?

- Ja tu mieszkam - powiedziałam, nie wiadomo czemu czując się jak oskarżona. - Ja tylko...

- Jak to: mieszkasz? - warknęła. - To moja ziemia i nie lubię wścibskich dzieci. Tylko by rozrabiały.

Zorientowałam się już, że starsza pani musi być Szaloną Mary, i gorąco pragnęłam, żeby rzeczywiście okazała się nieszkodliwa, jak mówił tato.

- Ja nie rozrabiam - odparłam nerwowo. - Nazywam się Tess Lawrence. Właśnie wprowadziliśmy się do tamtego domu. - Machnęłam ręką w kierunku miejsca, gdzie mniej więcej znajdował się nasz dom.

- Mówisz o starej farmie Sellersów? Kiwnęłam głową.

- Przepraszam, że znalazłam się na pani terenie. Wyszłam na spacer i zobaczyłam ten domek na drze wie, i... po prostu postanowiłam do niego wejść. Wiem, że jestem już na to za duża, ale to wszystko przypomniało mi o mojej wierzbie. To znaczy, nie miałam na niej takiego domku, ale mogłam się chować pod jej długie gałęzie i... - Przerwałam paplaninę. - To chyba głupie, że tęsknię za drzewem...

Wyraz oczu kobiety nagle złagodniał.

- Tęsknisz za drzewem? Nie, to wcale nie jest głupie. - Kiedy spojrzała na domek, nie wyglądała już na rozzłoszczoną. Była tylko smutna i przygnębiona. - Przepraszam, że tak się uniosłam. To dlatego, że dzieci przychodzą tu czasami, żeby psocić. Myślałam, że ty też. Jestem twoją sąsiadką. Mary McConnell. - Wskazała psa i dodała: - A ten tutaj to Samson.

Pochyliłam się i podrapałam jego potężną głowę. Samson uśmiechnął się od ucha do

ucha.

- Cześć, Samson - powiedziałam. - Co to za rasa?

- Głównie ogar, jak mi się zdaje. Dostałam go, kiedy był szczeniakiem. Właściciel uważał, że nie będzie umiał tropić, więc chciał go uspić.

- To znaczy zabić? - spytałam przerażona. Pani McConnell skinęła głową.

- Niektórzy ludzie uważają, że pies, który nie potrafi tropić, nie ma prawa żyć. - Samson usiadł przy jej nodze, a ona go pogłaskała. - Tak, dobry z ciebie piesek, Sammy.

- Cieszę się, że go pani uratowała - powiedziałam i uśmiechnęłam się.

Ku mojemu zaskoczeniu starsza pani odwzajemniła uśmiech.

- No, chyba zaczniemy się zbierać, Samson i ja - odwróciła się, potem stanęła i rzuciła przez ramię: - Aha, możesz odwiedzać to stare drzewo, kiedy tylko ci się spodoba.

- Dziękuję pani - ucieszyłam się.

Starsza pani i jej pies zniknęli pomiędzy drzewami. Uznałam, że na mnie też już pora, więc ruszyłam w przeciwnym kierunku. Wracając do domu myślałam o pani McConnell. Nagle zdałam sobie sprawę z tego, że nie spytałam jej, do kogo należał domek na drzewie.

### ROZDZIAŁ 3

Wreszcie nadszedł sądny dzień. Stałam przed szafą, usiłując zdecydować, w co się ubrać do szkoły. Przymierzyłam kilka zestawów i wreszcie zdecydowałam się na drelichową spódnicę i białą koszulę z haftem.

Spojrzałam w lustro na toaletce i uznałam, że wyglądam przyzwoicie. Nie rewelacyjnie, ale i nie paskudnie. Włosy zawsze były moim największym atutem. Są rudobrazowe - zdaje się, że taki kolor nazywa się „kasztanowy” - mocne, miłe w dotyku i lekko falujące.

Ostami raz zerknęłam w lustro, chwyciłam wielką płócienną torbę i zeszałam na dół. Tato wyszedł już do pracy, a mama siedziała za stołem, czytając gazetę i popijając kawę. Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się.

- Ładnie wyglądasz, Tess. Denerwujesz się? Rzuciłam torbę na podłogę i padłam na krzesło.

- Czy się denerwuję? Tylko dlatego, że idę do nowej szkoły pełnej nowych ludzi, którzy mówią ze śmiesznym akcentem? Ja się nie denerwuję, ja umieram ze strachu!

Mama poklepała mnie dziarsko po ręce i wstała.

- Wiem, że teraz ci ciężko, kochanie, ale po dziesięciu minutach poczujesz się tam jak w domu. No, to na co masz ochotę?

- Nie jestem głodna - mruknęłam. - Zaraz chyba zwymiotuję.

W końcu zgodziłam się na szklankę soku pomarańczowego i grzanek. Jadłam, ale nie mogłam oderwać oczu od zegara. Wreszcie westchnęłam.

- Chyba zacznę się zbierać. Mama skinęła głową.

- Na pewno nie chcesz się spóźnić od razu pierwszego dnia. Masz rozkład zajęć? A te formularze, które od razu musisz oddać do sekretariatu?

- Tak jest. Mam wszystko - zapewniłam ją. Wzięłam torbę i wyszałam za mamą z domu.

Jechałyśmy w milczeniu. Kiedy znalazłyśmy się pod szkołą, moim oczom ukazał się tłum dzieciaków, stojących w grupkach, śmiejących się i gadających. Omal nie umarłam. Nie należałam do żadnej z tych grup. Byłam obca, zupełnie obca. Gorzej - byłam Janekską. Pewnie wszyscy pomyślą, że to ja mówię ze śmiesznym akcentem!

Mama uśmiechnęła się, by dodać mi otuchy.

- Powodzenia.

- Dzięki. Będę go potrzebować.

Patrzyłam, jak odjeżdża, machając do mnie radośnie. Jasne, dla niej nie ma sprawy, pomyślałam. Ona jedzie prosto w świat fantazji swojego najnowszego romansu „Przeznaczenie i pożądanie”. A ja utkwiałam w prawdziwym świecie liceum w Blossom Creek. Westchnęłam i ruszyłam pomiędzy grupkami uczniów, wlokąc się do wejścia.

Sekretariat znalazłam od razu, ponieważ znajdował się naprzeciw drzwi. Korytarze już teraz były zatłoczone, a jacyś nauczyciele szli gdzieś pospiesznie - być może do pokoju nauczycielskiego na ostatnią filiżankę kawy, zanim stawią czoło swoim klasom. Nie pojawiłam się w szkole zbyt wcześnie i nie wiedziałam, czy uda mi się rozejrzeć w nowym miejscu, zanim rozpoczną się zajęcia.

Przekroczyłam próg sekretariatu i stanęłam w kolejce do biurka. Wyglądało na to, że wszystkim zajmuje się tylko jedna kobieta w średnim wieku, która rusza się tak samo powoli, jak mówi. Potem zauważyłam niską dziewczynę o jasnych włosach. Siedziała za biurkiem w rogu sekretariatu, spinała ze sobą pliki różnokolorowych kartek i co chwilę spoglądała na nas. Na jej okrągłej twarzy malowało się rozbawienie.

Czekałam, czekałam, czekałam... I właśnie wtedy, gdy osoba stojąca przede mną wreszcie skończyła i odeszła, kobieta powiedziała: „Przepraszam na chwilę, kochanie” i zniknęła za drzwiami. Nie do wiary! Pewnie wyglądałam na zupełnie przerażoną, bo dziewczyna przy sąsiednim biurku zachichotała.

- Nie przejmuj się, pani Landers za chwilę wróci - powiedziała. Zostawiła na biurku swoje papiery i podeszła do mnie. - Pewnie poszła do toalety. Mogę ci pomóc?

Blondynka miała tak przyjazny uśmiech, że musiałam go odwzajemnić.

- Dzięki. Jestem tu nowa, rozumiesz, i muszę tu zostawić te formularze...

- Słysząc, że nie jesteś tutejsza. Witaj w liceum Blossom Creek. Skąd przyjechałaś?

- Z Glen Forest. To północne przedmieście Chicago... - zaczęłam.

- Chicago? Niemożliwe! - zawołała z podziwem. - W lecie byłam w Chicago! Odwiedziłam mojego brata, Buddy'ego. Jest w marynarce i mają bazę w Great Lakes. A co ty tu robisz?

- Mój ojciec został przeniesiony do Blossom Creek. Będzie dyrektorem nowej fabryki Słodkich Okruszków i...

- Hej, super! - przerwała mi. Najwyraźniej nie było mi dane wypowiedzieć pełnego zdania. Dziewczyna spojrzała na formularze, które jej wręczyłam. - Tess Lawrence... Mam nadzieję, że spodoba ci się tutaj. Ja nazywam się Lenny, Lenny Harris.

Musiałam wyglądać na okropnie zdziwioną, bo roześmiała się wesoło.

- Wiem, wiem, idiotyczne imię, co? Naprawdę nazywam się Lenore. Lenore! Potrafisz

wyobrazić sobie coś bardziej ohydneho?

Ja także się roześmiałam.

- Nie jest tak źle. Witaj, Lenny. Miło mi. Znowu spojrzała na moje dokumenty.

- Z tym nie będzie żadnego kłopotu, zwykły czerwony pasek. Dam te formularze pani Landers, jak tylko wróci. Masz rozkład zajęć?

Skinęłam głową i wyciągnęłam go z folderu, który przyniosłam z sobą. Lenny przyjrzała mu się z uwagą.

- Hej, jesteśmy w jednej klasie! Będziemy razem chodzić na popołudniowe lekcje angielskiego i wy chowanie fizyczne, a ty jesteś jeszcze przydzielona do zajęć chóru. Świetnie! Potrzeba nam wszystkich, którzy potrafią śpiewać. No dobrze. Musisz mieć szafkę...

Lenny podeszła do katalogów i wyciągnęła jedną z szuflad. Wyjęła z niej jakąś kartkę i podała mi ją.

- Proszę, oto szyfr do szafki dwieście sześćdziesiąt trzy. To na pierwszym piętrze, przy sali muzyki. Wiesz, gdzie to jest?

Potrząsnęłam głową.

- Nie mam pojęcia, gdzie jest cokolwiek. Jestem tu po raz pierwszy. Zostałam przyjęta zaocznie.

- No, to może cię zaprowadzę? Nie mamy czasu na zwiedzanie całej szkoły, ale mogę ci pokazać twoją szafkę i ogólny rozkład budynku.

Pani Landers pojawiła się wreszcie.

- Wybacz, kochanie - powiedziała z macierzyńskim uśmiechem. - Więc w czym ci mogę pomóc?

Zanim zdołałam się odezwać, zwróciła się do niej Lenny.

- To jest Tess Lawrence. Jest nowa. - Wepchnęła kobiecie moje dokumenty. - A tu są jej formularze. Przydzieliłam jej szafkę, a teraz ją do niej zaprowadzę.

- A co z twoją pracą? - spytała pani Landers.

- Skończona. Wszystko leży na tamtym biurku. No chodź, Tess, pospieszmy się! - Wypadła z sekretariatu, a ja popędziłam za nią. Kiedy znalazłyśmy się na korytarzu, uśmiechnęła się do mnie. - Wolałam prysnąć, zanim pani L. zacznie czytać twoje dokumenty. To trwałoby całe wieki.

Lenny poprowadziła mnie zatłoczonym korytarzem na piętro. Szłam za nią w coraz lepszym nastroju, choć rozbrzmiewający wokół chór głosów z południowym akcentem nieco mnie przygnębiał.



Na piętrze Lenny wskazała mi kilka sal lekcyjnych, a potem zaprowadziła mnie do mojej szafki. Stała w miejscu, które wyglądało na główny korytarz. Przechodzący obok uczniowie nieustannie potracali nas i popychali.

- Spróbuj, czy szyfr otwiera drzwi - podsunęła mi Lenny. - Są strasznie stare i czasami odmawiają posłuszeństwa.

Wyjęłam karteczkę i starannie wybrałam cyfry, ale nic się nie wydarzyło. Ponowiłam próbę, szarpiąc drzwi tak mocno, że torba ześliznęła mi się z ramienia.

- Chyba się zacięła - oznajmiła radośnie Lenny i walnęła pięścią w drzwi szafki. - Proszę. Spróbuj teraz.

Jeszcze raz pociągnęłam za drzwiczki, ale nadal nie mogłam się dostać do środka. Ciężka torba krępowała moje ruchy, więc postawiłam ją na podłodze i po raz ostatni szarpnęłam za drzwiczki. Tym razem raczyły się otworzyć.

- Udało się! - wykrzyknęła Lenny.

Zajrzałam do pustej szafki. Przez chwilę myślałam o tych, którzy używali jej przede mną. Niemal nie zauważyłam wysokiego chłopaka, mijającego mnie po spiesznie.

Nagle potknął się i wpadł na przeciwną ścianę, uderzając z hałasem o szafki. Kilka osób roześmiało się i zaczęło klaskać, a ktoś zawołał:

- Droga dla Stoddarda!

Lenny spojrzała na podłogę i zachichotała.

- Chyba potknął się o twoją torbę.

Poszłam za jej wzrokiem. Torba leżała teraz na środku korytarza. Szybko schyliłam się i podniosłam ją, potem spojrzałam na moją ofiarę.

- Bardzo przepraszam... - zaczęłam i urwałam zaskoczona. Rozpoznałam chłopaka, którego spotkałam na stacji benzynowej w dniu mojego przybycia do Blossom Creek.

Patrzył na mnie równie nieprzyjaźnie, jak wtedy.

- Dlaczego dziewczyny zawsze noszą takie toboły? - warknął.

- O rany, Luke. Więcej optymizmu! - pospieszyła mi z pomocą Lenny. - W końcu nic się nie stało.

Spojrzał na nią spode łba, spiorunował mnie wzrokiem i odszedł.

- Zdaje się, że go rozzłościłam - mruknęłam nerwowo.

Lenny wzruszyła ramionami.

- Nie zwracaj na niego uwagi. To nie tylko twoja wina, Luke walczy z całym światem.

Zaintrygowała mnie; miałam ochotę poprosić ją o wyjaśnienie, ale w tej samej chwili odezwał się przenikliwy brzęczyk.

- Oho, pierwszy dzwonek! - powiedziała Lenny. - Pracownia chemiczna jest na końcu korytarza na parterze, więc lepiej dodajmy gazu!

Zbiegłyśmy po schodach. Kiedy dopadłam drzwi klasy, ledwie mogłam złapać oddech. Na korytarzu nie było już ani żywego ducha.

- To właśnie jest pracownia - poinformowała mnie Lenny. - Powodzenia! Spotkamy się później, dobrze?

Pobiegła przed siebie, a ja wyprostowałam ramiona, odetchnęłam głęboko i otworzyłam drzwi klasy.

Weszłam równocześnie z drugim dzwonkiem. Zatrzymałam się w progu; stałam przed klasą pełną uczniów. Niski, pękaty mężczyzna, stojący na środku sali, był pewnie nauczycielem chemii, panem Toddem. Wszyscy patrzyli na mnie z zaciekawieniem. Nie zrobiłabym lepszego wejścia, nawet gdybym się specjalnie starała!

Pan Todd uśmiechnął się do mnie.

- Młoda damo, zdążyłaś w ostatniej chwili. Jeszcze sekunda i miałabyś poważne kłopoty. Panna...?

- Lawrence - mruknęłam niewyraźnie. - Tess Lawrence.

Skinął głową i powiódł wzrokiem po klasie.

- A teraz musimy ci znaleźć partnera do ćwiczeń...

Przy każdym stoliku siedziało dwoje uczniów. Wydawało się, że wszyscy mają swoją parę, ale raptem zauważyłam jedno wolne miejsce. Dokładnie w tej samej chwili pan Todd powiedział z ożywieniem:

- Luke Stoddard! Nareszcie będziesz miał z kim pracować!

Spojrzałam z przerażeniem na chłopaka, siedzącego samotnie w ławce. Był to ten ze stacji benzynowej, który omal nie wywrócił się na mojej torbie! Nauczyciel zwrócił się do mnie:

- Usiądź na tym krześle w ostatnim rzędzie, Tess. Mechanicznie kiwnęłam głową i przeszłam między nieznanymi uśmiechniętymi twarzami. Usiadłam obok Luke'a i bardzo starannie schowałam torbę pod krzesło. Potem spojrzałam ukradkiem na mojego nowego kolegę. Patrzył przed siebie, jakbym była powietrzem.

Zerkałam na niego przez cały wykład, którego słuchał z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Ciągle pamiętałam o tym, co powiedziała Lenny - o jego walce z całym światem. Byłam strasznie ciekawa, co miała na myśli.

Pod koniec lekcji postanowiłam powiedzieć mu coś miłego. Ale zanim zdążyłam otworzyć usta, chłopak siedzący przede mną odwrócił się ku nam. Uśmiechnął się, a ja omal

nie zemdlałam. Nigdy w życiu nie spotkałam takiego fantastycznego faceta - z wyjątkiem Michaela Wrighta, oczywiście. Był wysoki i świetnie zbudowany, miał płowe włosy i orzechowe oczy.

- Cześć - powiedział głębokim, dźwięcznym głosem. - Jesteś nowa, prawda? Nazywam się Carter Davis, a to mój kumpel, Brad Robinson - dodał, wskazując chłopaka siedzącego obok. Jego sąsiad, krępy i trochę od niego niższy, skinął mi głową.

- Eee... Cześć! - zająknęłam się i uśmiechnęłam do nich.

- Niech cię, Stoddard, ale ci się udało - zwrócił się Carter do Luke'a. - Jak ty to robisz? Siedzisz z Tess na chemii, a ja muszę się nudzić ze starym Bradem!

Brad dał mu kuksańca.

- Co jest? Już mnie nie kochasz? Carter odwzajemnił się mu rym samym.

- Zamknij się, idioto!

Luke nie odezwał się ani słowem. Wstał i ruszył do drzwi, rzucając mi po drodze ponure spojrzenie. Carter odwrócił się do mnie.

- To pewnie twój tato jest dyrektorem tej nowej fabryki Słodkich Okruszków. Mój stary mówił, że spotkał się z nim niedawno, dlatego twoje nazwisko za brzmiało dla mnie znajomo. Mam nadzieję, że ci się u nas spodoba.

- Właśnie - wtrącił Brad. - Jak się nas pozna bliżej, nie jesteśmy tacy źli.

Wstałam i uśmiechnęłam się.

- Miło się rozmawia, ale na mnie pora. Nie chcę się znowu spóźnić.

Carter uśmiechnął się tak, że nogi się pode mną ugięły.

- Tego byśmy nie chcieli. Co masz teraz? Zajrzałam do rozkładu zajęć.

- Algebrę z panią Miller. Obaj pokręcili głowami.

- Ciebie też to nie ominęło? - Brad westchnął.

- Zabrzmiało groźnie - powiedziałam niepewnie.

- Lepiej się przygotuj. - Carter wstał. Jego przyjaciel podążył w ślad za nim. - Chodź, idziemy w jedną stronę. Będziemy ci dodawać odwagi.

Wychodząc pomyślałam, że to ciepłe przyjęcie wynika chyba z tradycyjnej gościnności Południowców • pominąwszy oczywiście wyjątki w rodzaju Luke'a Stoddarda. Zaraz potem Carter spytał mnie o coś i chwilowo myśli o Luke'u zupełnie wywietrzały mi z głowy.

## ROZDZIAŁ 4

Reszta dnia upłynęła bezboleśnie. Nie miałam okazji zapoznać się z innymi, ale wyglądali sympatycznie. Wszyscy, z wyjątkiem Luke'a Stoddarda.

Niestety, okazało się, że Luke chodzi razem ze mną na wszystkie poranne zajęcia. Fakt ten niewątpliwie stanowił jedyną czarną chmurę na pogodnym niebie. Choć musiałam przyznać, że jego osoba mnie fascynuje. Byłam ciekawa, dlaczego walczy z całym światem, i wymyśliłam kilka historii, które z powodzeniem mogłyby uświetnić akcję „Dynastii”.

W czasie przerwy na lunch wraz z tłumem innych uczniów poszłam do stołówki. Zapłaciłam za posiłek i spojrzałam z niepokojem w stronę stolików, usiłując zdecydować się na jakieś miejsce. Człowiek rzadko czuje się bardziej samotny, niż wtedy gdy stoi w jadalni pełnej obcych ludzi, bez reszty zajętych jedzeniem i rozmową z przyjaciółmi.

I nagle usłyszałam, że ktoś woła moje imię. Lenny! Siedziała przy stole z dwiema dziewczynami, a kiedy ją zauważyłam, pomachała mi ręką.

Pospieszyłam do niej, a Lenny przywitała mnie jak starą znajomą. Szybko przedstawiła mnie koleżankom, a ponieważ przypomniałam sobie, że widziałam je na zajęciach z chemii i algebry, od razu znalazłyśmy wspólny temat.

- Widziałam, że Carter rozmawiał z tobą po chemii - powiedziała Sandra Martin.

- Rety, ależ masz szczęście! - Dawn Ritter westchnęła. - Do mnie nigdy nie odezwał się ani słowem.

Lenny zmarszczyła brwi.

- Nie rozumiem, dlaczego tak go uwielbiasz. Jest tak zarozumiały, że aż niedobrze się robi.

Dawn obruszyła się, jakby to ją ktoś obraził.

- Ależ nie, skąd! Uważam, że jest bardzo miły. A jaki piękny!

- W porządku, jest przystojny. - Lenny wzruszyła ramionami. - I co z tego? Według mnie Carter Davis jest wyjątkowym idiotą, jeśli chcesz wiedzieć. Uważa się za nie wiadomo kogo, i to tylko dlatego, że jego rodzinka ma masę pieniędzy, a ojciec jest sędzią. A siostrę ma tak samo zarozumiałą.

Dawn miała właśnie zaprotestować gorąco w obronie swojego idola, kiedy przy naszym stole pojawił się sam zainteresowany wraz ze swoim przybocznym, Bradem Robinsonem.

- Witam panie. - Obdarzył nas olśniewającym uśmiechem. - Zdaje się, że przerwaliście wam jakąś poważną dyskusję. Rozwiązujecie problemy współczesnego świata?

Dawn oblała się rumieńcem i zachichotała. Zauważyłam, że Lenny nie jest zachwycona.

- Owszem - powiedziała sarkastycznie. - A ty i Brad zajmowaliście się kwestią Dalekiego Wschodu?

- Brort Boże. - Carter roześmiał się. - Zajmowaliśmy się kwestią dziewczyn.

Dawn zachichotała ponownie, ale Carter zignorował ją i zwrócił się do mnie.

- No i jak ci leci, Tess?

- Na razie dobrze. - Uśmiechnęłam się. - Jeszcze żyję.

- Świetnie. Tylko szkoda, że na chemii pokarało cię tym Stoddardem.

- Odczep się, Carter - warknęła Lenny. - Luke jest w porządku. Po prostu ma kłopoty, i tyle.

Carter wzruszył szerokimi ramionami.

- Jasne. Wiem, że ma kłopoty, ale nie musi się z tego powodu odgrywać na wszystkich. Poza tym zawsze był z niego kawał dziwaka, nawet jeszcze przed tą historią z jego starym.

Miałam nadzieję, że powiedzą coś jeszcze, ale nagle ktoś zawołał Cartera. Rozejrzałam się i zobaczyłam ładną brunetkę, machającą do niego ręką.

Carter skrzywił się z irytacją.

- Wkrótce dokończymy naszą rozmowę, Tess. Trzy maj się!

Podszedł do dziewczyny, a Brad, jego milczący cień, podążył za nim. Kiedy odwróciłam się, dostrzegłam żalosne spojrzenie Dawn.

- O rety, spodobałaś się mu - zauważyła ze smutkiem. - Ale się tobą zajmował.

Sandy roześmiała się.

- Lepiej uważaj, Tess. Nasz Carter to podrywacz.

- Dlaczego niby miałyby uważać? - zdziwiła się Dawn. - Umarłabym ze szczęścia, gdyby Carter zainteresował się mną tak jak nią!

Lenny spojrzała na nią z rozdrażnieniem i potrząsnęła głową.

Uznałam, że pora zmienić temat.

- Dlaczego powiedziałaś, że Luke Stoddard ma kłopoty? - spytałam.

- Widzisz... - zaczęła Lenny. - Zeszłej zimy ojciec Luke'a grał w Cedarville i...

- Grał? - przerwałam jej. - W co?

- Ach, prawda! Nie wiesz, że Charlie Stoddard był muzykiem, jednym z najlepszych skrzypków w Kentucky - wyjaśniła Lenny.

- Ale większość ludzi uważa, że Luke jest od niego lepszy - dodała Dawn. - Cała

rodzina ma muzyczne zdolności, oczywiście z wyjątkiem matki Luke'a. A Luke, jego ojciec i czterech braci założyli zespół. Nazywali się Swingujący Stoddardowie.

Zauważyłam, że obie używają czasu przeszłego.

- I co się stało? - dopytywałam się.

- Jak już mówiłam, ojciec Luke'a grał w Cedaryville na szkolnej potańcówce - ciągnęła Lenny. - Pani Stoddard nie chciała wypuścić chłopców z domu, więc Charlie pojechał sam, i dobrze się bawił, jak zwykle. - Zamilkła na chwilę. - Widzisz, Charlie Stoddard za dużo pił. A potem... w drodze do domu... uderzył w drzewo i zginął na miejscu.

- Boże, to straszne - jęknęłam. Wszystkie trzy kiwnęły głowami.

- Właśnie - powiedziała Lenny. - Luke i jego matka strasznie to przeżyli. Zawsze było im ciężko, a kiedy zabrakło ojca, zrobiło się jeszcze gorzej. Zdaje się, że nie zostawił im zbyt wiele. Teraz ledwie wiążą koniec z końcem. A Luke, jako najstarszy, ma masę obowiązków. Wiesz, jak to jest.

- Właśnie - dodała Sandy. - Pewnie dlatego tak się zachowuje. Ma mnóstwo kłopotów i ciężkiej pracy. Chyba uważa nas wszystkich za głupie dzieciaki.

Smutna historia Luke'a Stoddarda obudziła we mnie współczucie; zadrzałam pomyślawszy o moim ojcu i o tym, jak straszne stałoby się moje życie, gdyby coś mu się przytrafiło.

Jazgot dzwonka wyrwał mnie z zamyślenia.

- Chodź, Tess - rzuciła Lenny, kiedy wstałyśmy i odniosłyśmy tace. - Mamy razem lekcję angielskiego. Jak się pospieszymy, zajmiemy jakieś przyzwoite miejsce.

Wyszłyśmy razem ze stołówki, ale ja ciągle myślałam o Luke'u Stoddardzie. Nie mogłam przestać o nim rozmyślać nawet wtedy, gdy zajęłyśmy miejsca w ostatnich ławkach. Ledwie usiadłyśmy, w klasie pojawił się Luke i usiadł tuż obok mnie. Pod wpływem nagłego impulsu spojrzałam mu prosto w oczy i przywitałam się.

Luke spojrzał na mnie z zaskoczeniem.

- Cześć - mruknął.

- Posłuchaj - odezwałam się szybko, zanim zdążył się ode mnie odwrócić. - Chcę tylko powiedzieć, że przykro mi, że cię przewróciłam. A właściwie, że się przewróciłeś na mojej torbie. Nie powinnam jej stawiać na środku korytarza, ale chciałam otworzyć szafkę, która się zacięła, a torba mi przeszkadzała... - Przestań paplać, skarciłam się w duchu i zamilkłam.

Z ulgą zauważyłam błysk rozbawienia w jego błękitnych oczach.

- Nic się nie stało - powiedział z miękkim akcentem. - To nie twoja wina. Przepraszam, że tak na ciebie napadłem.

Uśmiechnęłam się, przyjemnie zaskoczona tymi przeprosinami. Ku mojemu zdziwieniu Luke odwzajemnił uśmiech. Niestłuchane, jak bardzo zmieniła się jego twarz. Zupełnie nie do poznania.

Po tak udanym początku postanowiłam kontynuować rozmowę.

Wiem, że jesteś muzykiem. To fantastyczne. Jego uśmiech zniknął w ułamku sekundy; Luke spojrzał na mnie podejrzliwie zwięzonymi oczami.

- Skąd wiesz?

- Ktoś wspomniał przy obiedzie - powiedziałam, nagle zażenowana.

Rozpaczliwie szukałam jakiegoś innego tematu, kiedy obok mnie pojawił się Carter Davis.

- Cześć, Tess. - Uśmiechnął się do mnie uroczo, tak jak to tylko on potrafił. - Czy to miejsce przed tobą jest zajęte?

- Nie... Chyba nie - mruknęłam.

- Świetnie. - Carter usiadł i rozprostował wspaniale umięśnione ramiona. - I znowu chodzimy na wspólne zajęcia. To chyba przeznaczenie! - Rzucił mi tak wymowne spojrzenie, że poczułam oblewający mnie rumieniec.

- Chyba tak - zgodziłam się.

Do klasy weszła nauczycielka, pani Wallace; Carter mrugnął do mnie i odwrócił się. Zerknęłam na Luke'a; słuchał wykładu pani Wallace ze swoją ponurą miną.

Przez całą lekcję usiłowałam się skoncentrować, ale nie mogłam przestać myśleć o Luke'u Stoddardzie.

Pierwszy dzień w liceum Blossom Creek dobiegł końca, Lenny zabrała mnie na zajęcia chóru; powiedziała, że jego poziom jest zupełnie rozpaczliwy, i wkrótce zrozumiałam, że w tym stwierdzeniu nie ma ani grama przesady.

W ciasnej salce spotkałyśmy kilka koleżanek Lenny. Kiedy rozległ się dzwonek, rozejrzałam się ze zdziwieniem. W pomieszczeniu znajdowało się zaledwie dwadzieścia osób, w tym tylko dwóch chłopców.

- A gdzie reszta? - szepnęłam do Lenny.

- To już wszyscy - odpowiedziała. - Tylko nie mów, że cię nie ostrzegałam.

- Ale tu są tylko dwaj chłopcy - zaprotestowałam.

- Owszem, Kevin Horner i Ben Williams. Ben jest niezły, ale Kevin ma głos jak syrena policyjna.

Zachichotałam.

- Jest tu ktoś naprawdę dobry? - Rozejrzałam się i zauważyłam wysoką atrakcyjną

blondynkę, otoczoną grupką dziewczyn. - Kto to? - zwróciłam się do Lenny.

Skrzywiła się.

- Carly Davis, siostra Cartera. Jest w starszej klasie i naprawdę trudno ją znieść. To gwiazda naszego chóru, przynajmniej w jej mniemaniu.

Przyjrzałam się jej z zainteresowaniem; teraz, kiedy dowiedziałam się, że jest siostrą Cartera, zauważyłam duże rodzinne podobieństwo. Zaraz potem do sali wpadł niski mężczyzna. Miał wąsiki cienkie jak igiełki, a ciemne włosy zaczesał z tyłu głowy na czoło.

- To pan Cassin, dyrygent - szepnęła Lenny.

- Szanowanko - przywitał nas nauczyciel z miękkim miejscowym akcentem. Podszedł do fortepianu, powiódł po klasie wzrokiem i potrząsnął głową, - Widzę, że moje zachęty odniosły wstrząsający efekt - powiedział kwaśno.

- Ale mamy jedną nową osobę! - zawołała Lenny, wskazując na mnie. - To Tess Lawrence. Przyjechała z Chicago.

Dyrygent uniósł brwi.

- Doprawdy? I co skłoniło panią do podjęcia takiej decyzji? Szantaż czy łapówka?

Wszyscy wybuchnęli śmiechem; ja też.

- Nic z tych rzeczy, proszę pana. Po prostu lubię śpiewać. W mojej poprzedniej szkole też należałam do chóru.

Pan Cassin uśmiechnął się.

- To dobrze. Cieszę się, że jesteś z nami. No, to na rozgrzewkę zaśpiewamy parę piosenek, a potem po kolei pokażecie mi, na co was stać.

Jedna z dziewczyn zaczęła rozdawać nam jakieś przedpotopowe śpiewniki. Spojrzałam skonsternowana na wyświechtane strony, wspominając tęsknie sterty nowiusieńkich nut, z których korzystaliśmy w liceum Glana Foresta.

- A zatem, panie i panowie - dyrygent usiadł przy fortepianie i uderzył pierwszy akord - strona dwudziesta czwarta, jeśli łaska.

Na stronie dwudziestej czwartej znajdowała się piosenka *Danny Boy*. Rany boskie, pomyślałam. Co za żenada! W moim liceum prędzej byśmy padli trupem, niż zgodzili się zaśpiewać coś tak staroświeckiego.

Ale ku mojemu zdziwieniu, kiedy zaczęliśmy śpiewać, okazało się, że piosenka nie jest aż tak nudna. Prawdę mówiąc bardzo mi się podobała, a chór Blossom Creek całkiem nieźle sobie z nią radził, choć od strony sopranów dobiegło mnie parę dziwnych dźwięków.

Kiedy skończyliśmy, pan Cassin odwrócił się do mnie.

- Panno Lawrence, może zechce nam pani zaprezentować swoje umiejętności? Proszę



zaśpiewać od tego miejsca.

Z trudem przełknąłem ślinę. Nie miałam najmniejszej ochoty śpiewać przed tyloma wpatrującymi się we mnie sędziami, ale nie mogłam odmówić. Postanowiłam więc, że skupię się wyłącznie na muzyce. Pan Cassin akompaniował mi na fortepianie, a ja zaśpiewałam najlepiej, jak umiałam.

Kiedy skończyłam, dyrygent uśmiechnął się do mnie szeroko.

- Świetnie! - zawołał. - Panno Lawrence, to było znakomite!

Wszyscy zaczęli klaskać, a ja poczułam, że się rumienię. Kiedy wreszcie zapadła cisza, Lenny pochyliła się do mnie i szepnęła:

- Rety, Tess, nie wiedziałam że masz taki fantastyczny głos! - Dała mi kuksańca w bok. - Spójrz na Carly. Zaraz ją coś trafi.

Podniosłam wzrok. Faktycznie, ładna buzia Carly Davis zlodowaciała. Miałam nadzieję, że siostra Cartera nie stanie się moim wrogiem.

Wydawało mi się, że lekcja minęła w mgnieniu oka. Kiedy razem z Lenny kierowałam się do wyjścia, pan Cassin uśmiechnął się do mnie radośnie.

- Widziałaś, jak na ciebie patrzy? - spytała Lenny, kiedy znalazłyśmy się na korytarzu.

- Można by pomyśleć, że do chóru wstąpiła gwiazda Metropolitan Opera!

W tej samej chwili Carly Davis przepłynęła dumnie obok nas. Lenny spojrzała na nią z uśmiechem.

- Nie wydaję ci się, że jakby pozieleniała? Teraz już nie będzie mogła śpiewać wszystkich solówek. Może dzięki temu przestanie tak zadzierać nosa.

Lenny opowiadała mi o chórze jeszcze przez kilka minut, dopóki nie zorientowała się, że za chwilę spóźni się na autobus. Pędem wypadła ze szkoły.

Zeszłam powoli po schodach, mijając po drodze parę osób, wołających do mnie: „Cześć, Tess” i „Do jutra”. Wyszłam ze szkoły uśmiechnięta i rozejrzałam się za czerwonym sportowym samochodem mamy. Dostrzegłam go w pobliżu wjazdu na szkolny parking i ruszyłam w jego stronę. Tuż obok zauważyłam nagle Luke Stoddarda, wsiadającego do najbardziej zniszczonej furgonetki, jaką kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć.

Zajęcia chóru chwilowo odwróciły moją uwagę od Luke'a, ale teraz, zbliżając się do samochodu mamy, przypomniałam sobie o wszystkim, czego dowiedziałam się dzisiaj na temat jego rodziny i ich niewesołej sytuacji. To było takie niesprawiedliwe...

- Cześć, kotku - przywitała mnie mama, kiedy wsiadałam do samochodu. - Jak poszło?

- W porządku. Nie było tak źle, jak się obawiałam. - Zapięłam pasy.

Mama uśmiechnęła się i przekręciła kluczyk w stacyjce. Ale zanim zdążyła ruszyć,

minęła nas furgonetka Luke'a Stoddarda. Patrzył na mnie i miałam wrażenie, że zamierza wjechać prosto w czerwone auto mamy. Uśmiechnęłam się do niego i pomachałam mu, ale jego reakcją było jedynie nieznaczne skinienie głową. Potem minął nas i zniknął.

- Co to za ponure indywidualum? - spytała mama. Wzruszyłam ramionami.

- Po prostu kolega - powiedziałam, a potem zaczęłam opowiadać jej o moim pierwszym dniu w liceum Blossom Creek.

## ROZDZIAŁ 5

Nie muszę chyba wyjaśniać, że udało mi się jakoś przeżyć pierwszy tydzień w liceum Blossom Creek. Pod koniec czułam się dość dziwnie, bo wydawało mi się, że jestem tu od zawsze. Lekcje były w porządku, a niektóre zajęcia - jak chemia i angielski - sprawiały mi masę satysfakcji. Oczywiście zajęcia chóru stały się najprzyjemniejszym punktem każdego dnia. Pan Cassin może i miał śmieszna fryzurę, ale był naprawdę świetnym nauczycielem i chociaż swoje lekcje traktował poważnie, to potrafił je również zmienić w zabawę. A co najlepsze, poznałam mnóstwo nowych kolegów. Lenny szybko stała się moją bliską koleżanką i bardzo dobrze czułam się w towarzystwie jej znajomych.

Wspaniały Carter Davis poświęcał mi mnóstwo uwagi, co mi pochlebiało, ponieważ niemal wszystkie dziewczyny w szkole - oprócz Lenny - straciły dla niego głowę. Lenny powiedziała mi, że Carter Davis ma stałą dziewczynę - Dianę Webber, brunetkę, z którą widziałam go w stołówce pierwszego dnia mojego pobytu w szkole. Ale w przypadku Curtisa - jak wyjaśniła mi Lenny - określenie „stała” odnosiło się do bardzo krótkiego okresu; poza tym dni panowania Diany były już policzone, ponieważ Carter najwyraźniej zagiął parol na mnie. Choć to, co mówiła Lenny, brzmiało dość nieprawdopodobnie, musiałam przyznać, że Carter rzeczywiście nie odstępował mi ani na krok.

A jednak, nie wiadomo czemu, nie mogłam przestać myśleć o Luke'u Stoddardzie. Być może wyobrażenia nieco mnie poniosła, ale rodzina Stoddardów jawiła mi się jako grupka zziębniętych nieszczęśników gnieżdżących się w jakiejś nędznej ruderze. Musiałam polegać wyłącznie na własnej fantazji, ponieważ od Luke'a nie mogłam dowiedzieć się niczego. Przez cały tydzień nie odezwał się do mnie ani słowem.

Kiedy pożaliłam się Lenny, powiedziała: - Luke to milczek. Zdaje się, że bardziej przejmował się swoją mamą niż ojcem. Stary Stoddard lubił życie towarzyskie, rozumiesz, prawdziwe hulanki i swawole. Znam Luke'a od pierwszej klasy i wiem, że zawsze był taki poważny, zupełnie jakby zwały się na niego wszystkie nieszczęścia tego świata.

Chciałam dowiedzieć się czegoś więcej, ale Lenny spojrzała na mnie uważnie, jakby chciała sprawdzić, czemu tak się nim interesuję. Zmieniłam więc temat i powstrzymałam się od dalszych pytań, choć konałam z ciekawości. Nie chciałam, żeby Lenny coś sobie pomyślała. To znaczy, żeby przyszło jej do głowy, że interesuję się Lukiem, bo się w nim zakochałam czy coś w tym stylu.

W sobotę zadzwoniłam do Melissy i opowiedziałam jej o moim pierwszym dniu w szkole. Ucieszyła się, że nie było tak źle, jak się spodziewałam, a potem opowiedziała mi, co

się dzieje w Glen Forest. Zauważyłam ze zdziwieniem, że nawet wiadomość o fantastycznym programie, nad którym mieli pracować Melo - fani nie przygnębiła mnie jakoś specjalnie. A kiedy skończyłam rozmowę, oprócz słabej tęsknoty nie czułam niczego. Zdaje się, że zaczęłam robić postępy.

Przez resztę ranka grałam na gitarze. Potem - ponieważ tato miał siedzieć przez cały dzień w fabryce - zjadłam obiad z mamą. Po posiłku mama wróciła do swojej powieści, a ja uznałam, że pogoda jest zbyt piękna, by spędzić resztę dnia w czterech ścianach, więc wyszłam nad staw zabierając ze sobą „Dumę i uprzedzenie”. Czytaliśmy to na angielskim i pomyślałam, że fajnie byłoby znaleźć jakiś cieniasty zakątek, gdzie zapoznałabym się z dalszymi losami Elizabeth Bennett i pana Darcy. „Duma i uprzedzenie” to jedna z moich ulubionych książek, Elizabeth jest naprawdę wspaniała, a co do pana Darcy, to także okazuje się cudownym człowiekiem, choć z początku wydaje się okropnym snobem.

Idąc przypominałam sobie moją pierwszą wycieczkę, kiedy to spotkałam „pustelnicę” - panią McConnell. Szkoła tak mnie pochłonęła, że nie myślałam od tamtego czasu o naszej sąsiadce. Kiedy dotarłam do domku na drzewie, rozejrzałam się, niemal zupełnie pewna, że zza drzew znowu wyłoni się węszący Samson, ale ścieżka była pusta.

Domek na drzewie wydał mi się znany jak stary przyjaciel. Wzięłam książkę pod pachę i wspierałam się po pniu na drewnianą platformę. Oparłam się o jej ściankę i zatonełam w lekturze. Na poniedziałkową lekcję mieliśmy przeczytać tylko dwa rozdziały, ale nie mogłam się oderwać.

Kiedy wreszcie spojrzałam na zegarek, z zaskoczeniem zauważyłam, że dobiega czwarta. Musiałam wracać do domu, więc zaczęłam schodzić, przytrzymując książkę pod pachą. Objęłam pień drzewa i szukałam stopą pierwszego szczebla. Wreszcie go znalazłam; stanęłam na nim i pospiesznie zdjęłam drugą stopę z platformy. Wtedy właśnie szczebel złamał się i poleciałam w dół. Nawet nie zdążyłam się przestraszyć, a już leżałam na ziemi. Wylądowałam ciężko na lewej nodze. Ostry ból przeszył kostkę; był tak przenikliwy, że zabrakło mi tchu.

Ostrożnie wyprostowałam nogę i spróbowałam poruszyć stopą. Kostka nadal trochę mnie bolała, ale już nie tak bardzo. Odczekałam kilka minut i spróbowałam wstać. Kiedy tylko przeniosłam ciężar ciała na lewą stopę, znowu przeszył mnie paroksyzm bólu i osunęłam się na ziemię.

Świetnie, Tess, pomyślałam. Doigrałaś się! Rozejrzałam się i zrozumiałam, że nie spotkam tu chyba nikogo. Może za parę godzin mama zacznie mnie szukać, uświadomiłam sobie ponurą prawdę. Mimo to zaczęłam krzyczeć o pomoc. Nagle spomiędzy drzew dobiegły

mnie jakieś szelesty i pomrukiwania. Znieruchomiałam, na wpół oczekując, że z zarośli wyłoni się Indianin. Ku mojej uldze zamiast czerwonoskórego ujrzałam psa pani McConnell, Samsona. Zbliżał się do mnie truchcikiem. On też mnie zauważył i zatrzymał się jak wryty, unosząc wielki łeb i węsząc. Potem rzucił się ku mnie z radosnym skowytem. Pogłaskałam go i uśmiechnęłam się. - Witam, witam! - powiedziałam. Pies zaczął lizać mnie po twarzy dużym różowym językiem, a ja nie mogłam przestać chichotać. - Sammy, to łaskocze! Przestań!

Pies skończył z pieszczotami i spojrzał na mnie jakby pytająco.

- Twoja pani jest z tobą? - Popatrzyłam na ścieżkę, ale nie zauważyłam ani śladu obecności pani Connell. Zwróciłam się znowu do Samsona: - I co teraz?

Pies przekrzywił głowę.

- Lassie by sobie poradziła - poinformowałam go, ale Samson tylko uśmiechnął się głupio.

Potem zaświtał mi pewien pomysł. Chwyciłam książkę, która spadła razem ze mną i powiedziałam z ożywieniem:

- Posłuchaj! Zanieś tę książkę swojej pani! Kiedy pojawisz się z „Dumą i uprzedzeniem” w pysku, będzie musiała zacząć się zastanawiać!

Ale pomysł nie trafił chyba Samsonowi do przekonania. Westchnęłam.

- No dobrze, to była tylko luźna propozycja. Mam nadzieję, że w końcu ktoś się tu pojawi...

Spojrzałam na swoją kostkę. Bolała coraz bardziej, puchła i siniała. Właśnie zaczęłam się zastanawiać nad dopełnieniem do domu, kiedy z daleka usłyszałam kobiecy głos.

- Samson! Samson, gdzie jesteś?

- Proszę pani! - krzyknęłam. - Tu Tess Lawrence! Samson jest ze mną. Potrzebuję pomocy!

Pies podskoczył i rzucił się w stronę ścieżki. Kiedy pojawiła się na niej pani McConnell, przywitał ją głośnym, przeciągłym ujadaniem.

Pani McConnell zauważyła mnie od razu.

- Co się stało, Tess?

- Znowu weszłam do domku na drzewie - wyjaśniłam, czując się idiotycznie. - I spadłam, i chyba złamałam kostkę. To głupie, prawda?

Starsza pani kucnęła nade mną i przyjrzała się mojej nodze. Miała poważną minę. Lekko dotknęła mojej kostki i zmarszczyła brwi.

- Chyba nie ma złamania, ale lepiej, żeby spojrzał na to doktor. Jak sądzisz, będziesz mogła iść, jeśli oprzesz się na moim ramieniu?

- Spróbuję.

Wstałam niezgrabnie, przenosząc cały ciężar ciała na zdrową nogę. Pani Connell objęła mnie, a ja oparłam się o jej ramię. Bardzo powoli pokuśtykałam po ścieżce, usiłując skakać na zdrowej nodze. Minęliśmy niewielki sad i rozciągający się za nim ogromny ogród. Na jego końcu znajdował się biały domek.

Na ganku przywitała nas duża ruda kotka. Samson obwąchał ją pogardliwie i podążył za nami do środka domu, mijając kuchnię i korytarz, prowadzący do salonu. Pani McConnell posadziła mnie na starej kanapie, pokrytej szydełkową narzutą; opadłam na nią bezwładnie.

- Połóż nogę wysoko - mruknęła pani McConnell, ostrożnie rozluźniając sznurowadła mojego adidasa i zdejmując mi go ze stopy. Potem wyszła z pokoju; za chwilę wróciła z wielką torbą lodu.

- Masz. To trochę zmniejszy obrzmienie.

- Dziękuję. - Przyłożyłam lód do kostki. - Czy mogłaby pani zadzwonić do mojej mamy, żeby po mnie przyjechała?

- Chciałabym, ale nie mam telefonu - powiedziała pani McConnell. Zdumienie odebrało mi mowę. Nie mogłam sobie wyobrazić, żeby ktokolwiek był pozbawiony telefonu, nawet w Blossom Creek! - Pójdę do waszego domu i powiem twojej matce, co się stało. To nie potrwa długo. Zostawię ci Samsona.

Opuściła bezzwłocznie pokój. Samson, bardzo markotny po jej wyjściu, westchnął ciężko i położył się przy kanapie.

- Nie martw się, Sammy. Ona wróci - zapewniłam go. Lód nieco uśmierzył ból; rozejrzałam się po pokoju po raz pierwszy, odkąd do niego weszłam. Był mały i skąpo umeblowany, a jego ściany oklejono tapetą w kwiatki. Obok kanapy stał fotel na biegunach i mały stolik ze staroświecką lampą i kilkoma fotografiami, oprawionymi w ramki. Dokuśtykałam jakoś do niego i popatrzyłam na jedną z nich.

Została chyba zrobiona w trakcie rozdania dyplomów i przedstawiała chłopca, który musiał być synem pani McConnell. Miał taką samą szeroką twarz i spoglądał wprost w obiektyw z nieufną, nieszczęśliwą miną. Wzięłam inną fotografię; ten sam chłopiec, tylko dużo młodszy. Obejmował dwa ogary, cała trójka szczyrzyła zęby w uśmiechu.

Przyglądałam się długo fotografii; nagle zdałam sobie sprawę z tego, że domek na drzewie musiał należeć właśnie do niego. Uśmiechnęłam się i odstawiłam zdjęcie na stolik.

Po chwili usłyszałam warkot zbliżającego się samochodu. W drzwiach pojawiła się pani McConnell, za nią spieszyli moi rodzice.

- Jak się czujesz, malutka? - spytał niespokojnie tato, podbiegając do mnie.

Wiedziałam, że jest wytrącony z równowagi, bo prawie nie mówi już do mnie „malutka”, głównie dlatego że mu nie pozwalałam. Ale w tych okolicznościach nie zwróciłam na to uwagi.

- Dobrze, tato. Po prostu znowu się przewróciłam, jak zwykle.

Mama przyjrzała się mojej kostce.

- Nie wygląda to dobrze, Dick - zwróciła się do taty. - Powinniśmy ją zabrać do tego doktora, o którym mówiła nam pani McConnell.

- Chodź, Tess - powiedział tato. - Samochód czeka przed wejściem.

Pomógł mi wstać; wsparłam się na nim i odwróciłam do pani McConnell.

- Jeszcze raz pani dziękuję. Gdybym pani nie spotkała, pewnie ciągle siedziałabym pod tym drzewem.

Uśmiechnęła się.

- Uważaj na siebie!

Byłam już prawie za drzwiami, kiedy nagle coś sobie przypomniałam.

- Przepraszam, czy na tych zdjęciach na stoliku jest pani syn?

Przez chwilę stała nieruchomo. Potem skinęła głową.

- Tak. To mój syn, Billy.

- To zdjęcie z psami jest świetne! Wygląda na bardzo szczęśliwego. Mieszka w okolicy?

Pani McConnell pobladła.

- Billy nie żyje. Wszyscy zamilkli.

Mama opanowała się pierwsza.

- Tak mi przykro, pani McConnell... Usiłowałam wymyśleć coś, co można by powiedzieć, ale nie mogłam wydobyć z siebie głosu.

- Lepiej idź już do doktora, Tess - odezwała się łagodnie pani McConnell.

Coś tam wymamrotałam i pokuśtykałam przed siebie, opierając się na ramieniu taty. Odjeżdżając obejrzałam się na biały domek. Myślałam o chłopcu, który w nim kiedyś mieszkał.

## ROZDZIAŁ 6

- Jak ci tam? - spytała mama, odwracając się do mnie. Leżałam na tylnym siedzeniu samochodu taty z nogą wyciągniętą przed siebie.

- Dobrze - skłamałam. Tak naprawdę czułam się fatalnie. Kostka mnie bolała, a co gorsza, nie mogłam przestać myśleć o pani McConnell i jej synu. To dziwne, nie znałam Billy'ego McConnella, a jego matkę spotkałam zaledwie dwa razy, ale byłam tak wstrząśnięta, jakbym usłyszała o śmierci kogoś z rodziny. Może przez to zdjęcie. Wyglądał na nim na tak szczęśliwego...

Rodzice rozmawiali o czymś cicho. Moją uwagę przyciągnęły ostatnie słowa taty.

- Mam nadzieję, że się nie myli co do tego Barry'ego.

- Kto? - spytałam.

- Pani McConnell - odparł tato. - Poradziła nam zadzwonić do doktora Barry'ego, twierdziła, że tylko on jest coś wart. Złapałem go w ostatniej chwili. Podobno właśnie wychodził.

Opadłam na siedzenie i westchnęłam. Nagle zateśniłam za domem, za miejscami dobrze mi znanymi i bezpiecznymi. Zapragnęłam zobaczyć mój stary dom, przyjaciół, nawet dawnego lekarza.

Wreszcie tato zatrzymał się przed budynkiem na Main Street. Tabliczka na drzwiach głosiła: „Jefferson Barry, dr med.” Jefferson? - zdziwiłam się. Oczami wyobraźni zobaczyłam dżentelmena z Południa z siwą bródką.

Tato pomógł mi wsiąść i zaprowadził mnie do środka; mama podążyła za mną. W gabinecie zastaliśmy tylko rudego mężczyznę, mniej więcej w wieku taty. Miał na sobie dres i sportowe buty; uśmiechnął się do nas.

- A więc to jest moja pacjentka? Cześć. Jestem Jeff Barry.

A to niespodzianka! Spodziewałam się staroświeckiego Południowca, a zastałam sympatycznego sportsmena.

- Dzień dobry, doktorze - przywitała go mama. - Nazywamy się Lawrence, a to nasza córka, Tess.

- No, Tess, pokaż mi swoją nóżkę - powiedział doktor.

Tato zaprowadził mnie do pokoju zabiegowego, a potem stanął z mamą w drzwiach.

- Może usiądziecie państwo w poczekalni? - zaproponował doktor Barry. - To nie potrwa długo.

Kiedy rodzice wycofali się, lekarz obejrzał moją nogę.



- No, z maratonu musisz zrezygnować - zażarto wał, delikatnie sprawdzając moją kostkę. - To brzydkie zwichnięcie, ale chyba nie ma złamania.

- Tak właśnie powiedziała pani McConnell.

- Naprawdę? Cieszę się, że skierowała cię do drugiego specjalisty w tym mieście.

Uśmiechnęłam się.

- Zdaje się, że uważa pana za znakomitego lekarza.

- Pani Mac jest mądrą kobietą - zauważył rozweselony doktor Barry. - Ale na wszelki wypadek zrobimy zdjęcie rentgenowskie. Może coś przeoczyłem.

- Zna pan dobrze panią McConnell? Doktor skinął głową.

- Owszem. Znam ją, odkąd byłem taki mały. - Zatrzymał rękę tuż nad ziemią. - Od dziecka kręciłem się w okolicach domu McConnellów. Mieszkaliśmy w sąsiedztwie, dopóki rodzice nie przeprowadzili się do miasta, kiedy zdałem do liceum.

- Wiec musiał pan znać Billy'ego, syna pani McConnell.

Uśmiech doktora Barry'ego przygasł.

- Tak, znałem go. Był moim przyjacielem. Słyszałem, że skreśliłaś sobie kostkę, spadając z domku, który zbudowałem razem z Billym.

- To pan go zbudował? - zdziwiłam się. Roześmiał się wesoło.

- Nie bój się. Jestem znacznie lepszym lekarzem niż budowniczym. Do dziś nie mogę się nadziwić, że ani Billy, ani ja nie złamaliśmy sobie przy tym karku. Oczywiście mieliśmy wtedy jakieś dziesięć lat.

- Doktorze... - zaczęłam i zawahałam się. Coś nie pozwalało mi spytać, co stało się z synem pani McConnell, ale ciekawość w końcu zwyciężyła. - Jak umarł Billy?

Uśmiech doktora zupełnie zniknął.

- Zginął w Wietnamie. Dawno temu, ale czasem wydaje mi się, że minęła zaledwie chwila.

- To straszne - szepnęłam.

Myślałam, że Billy zginął w katastrofie, jak ojciec Luke'a, albo że umarł na jakąś ciężką chorobę, ale nie pomyślałam o wojnie. Oczywiście słyszałam o Wietnamie. Rodzice brali udział w demonstracjach, no i uczyłam się o tym w szkole. Ale jakoś nie wydawało mi się to rzeczywistością. Aż do dzisiaj...

- Billy był jedynym dzieckiem pani McConnell? - spytałam.

Doktor Barry skinął głową.

- Po jego śmierci załamała się. A jej mąż zachorował i umarł po kilku latach.

- Biedna pani McConnell.

- To dziwne, że ją poznałaś. Pani Mac zwykle stroni od ludzi.

- . Spotkałam ją, kiedy po raz pierwszy wspięłam się na domek na drzewie. Była na mnie zła, ale potem się udobruchała. - Zamilkłam na chwilę. - Wiem od taty, że ludzie nazywają ją Szaloną Mary, ale ja nie uważam, żeby była nienormalna.

- Ludzie zwykli uważać za szaleńców wszystkich, którzy się od nich różnią. - Zmarszczył brwi. - Pani Mac zawsze miała silny charakter, a tego ludzie nie znoszą. Miała kilka scysji z tutejszymi. Ostatnią jakieś pięć lat temu, kiedy kazała aresztować kilku myśliwych za wkroczenie na jej teren. To wywołało powszechne oburzenie. W tym mieście nie zaskarża się myśliwych. To po prostu nie uchodzi. - Uśmiechnął się. - Ale pani McConnell się odważyła.

Doktor Barry obejrzał zdjęcie mojej nogi i oznajmił, że to tylko poważne zwichnięcie. Owinął kostkę elastycznym bandażem i kazał mi nie obciążać jej przez kilka dni. Z sali zabiegowej wyszłam wspierając się na kulach.

- Na razie trzymaj się z dala od drzew - poradził lekarz, odprowadzając mnie do drzwi. - A jeśli spotkasz kiedyś panią McConnell, pozdrów ją ode mnie.

Przez resztę weekendu siedziałam z unieruchomioną nogą, czytając, oglądając telewizję i rozmyślając o pani McConnell i Billym.

Do niedzieli kostka przestała mnie tak strasznie boleć, choć nadal nie mogłam chodzić bez kuł. Myśl o kuśtykaniu po szkole nie pociągała mnie specjalnie, ale jedyną alternatywą było pozostanie w domu. Ponieważ nie zamierzałam opuścić drugiego tygodnia w nowym liceum, zdecydowałam się to przecierpieć.

W poniedziałek rano mama podwiozła mnie pod boczne wejście szkoły, mogłam więc jakoś wkuśtykać do środka. Książki i zeszyty spakowałam do plecaka, by mieć wolne ręce i swobodnie manewrować kulami.

Lenny zauważyła mnie przez otwarte drzwi sekretariatu, gdzie pracowała codziennie przed zajęciami. Wybiegła za mną, krzycząc:

- Co się stało, Tess?

Opowiedziałam jej wszystko; Lenny słuchała mnie ze współczuciem, ale usta drgały jej z rozbawieniem. Bez przerwy powtarzała:

- Spadłaś z domku na drzewie? Żartujesz!

Niezgrabnie wpakowałam się do pracowni chemicznej. Niestety, w klasie było już kilka osób. Oczywiście wszyscy chcieli wiedzieć, co mi się stało.

- No, po prostu upadłam - rzuciłam nonszalancko, nie chcąc ponownie opowiadać całej długiej i bezsensownej historii.

Dotarłam do ławki, zajętej już przez Luke'a Stoddarda. Uprzedziłam go, zanim zdołał otworzyć usta.

- Wiem, co ci chodzi po głowie. Odpowiedź brzmi: nie, nie przewróciłam się o własną torbę.

Ku mojemu zaskoczeniu zobaczyłam, że się uśmiecha.

- No, to co właściwie się stało? Odezwała się stara kontuzja z czasów wojny?

Żart! Prawdziwy żart! Roześmiałam się z zaskoczeniem.

- Możesz mi wierzyć lub nie, ale prawda brzmi nawet jeszcze bardziej głupio - zaczęłam, siadając obok niego i wkładając kule pod ławkę. Ale nie miałam żadnej szansy, by dokończyć, bo w tej właśnie chwili pojawił się Carter Davis.

- I co to za historia z tymi kulami? - spytał.

- No dobrze. - Westchnęłam. - Właściwie mogę się wam przyznać. Spadłam z domku na drzewie.

- Co proszę? - Carter wybałuszył oczy.

- Nie rozumiem, dlaczego wszyscy tak się dziwią - oświadczyłam z irytacją. - Każdemu może się zdarzyć.

Luke uśmiechnął się szerzej, a Carter wybuchnął śmiechem.

- O rety, Tess, nie wiedziałem, że mieszkasz na drzewie - powiedział przekornie. - Zaprosisz mnie kiedyś?

- To nie jest mój domek, tylko mojej sąsiadki. Pewnego dnia wybrałam się na spacer i znalazłam go na takim wielkim starym drzewie. Co można jeszcze powiedzieć? Po prostu musiałam na niego wejść...

- Ponieważ tam był, całkiem jak Mount Everest - dokończył Luke.

Dwa dowcipy w ciągu dwóch minut! W przypadku Luke'a wyglądało to na rekord. Uśmiechnęłam się do niego.

- No właśnie. Przyszłam, wspięłam się - zrobiłam dramatyczną pauzę - i spadłam! I dlatego paraduję dzisiaj z kulami. To zwykłe zwichnięcie. Doktor Barry powiedział, że będę musiała ich używać tylko przez kilka dni.

- Więc kim jest ta sąsiadka z domkiem na drzewie? - dopytywał się Carter. - Według mnie możesz pozwać ją do sądu. Należy ci się niezłe odszkodowanko.

- Ależ skąd! - wykrzyknęłam impulsywnie. - To wyłącznie moja wina. Nie musiałam leżeć jak idiotka na to drzewo.

- Ale to mi wygląda na klasyczne zaniedbanie - naciskał Carter. - Twoi rodzice powinni porozmawiać z jakimś prawnikiem. Widzisz, mogłaś się nawet zabić!

- Tym razem mi się nie udało - zażartowałam. - Moi rodzice wreszcie by odetchnęli.

Carter nie sądził, żeby to było śmieszne.

- Wiec co to za sąsiadka? - spytał.

- Pani McConnell. Otworzył szeroko oczy.

- Szalona Mary? Kurczę! Niesamowite! Może udało by ci się zamknąć tę starą wariatkę w zakładzie!

Zaczęłam się denerwować.

- Ona nie jest wariatką, Carter. To bardzo miła kobieta. Lubię ją.

- Bo jesteś tu nowa - oznajmił wyniośle. - My, miejscowi, wiemy dobrze, że brakuje jej paru klepek.

Teraz byłam już wściekła.

- W takim razie, wy, miejscowi, jesteście w błędzie! Coś takiego, jacy ludzie potrafią być wredni! Pani McConnell jest w bardzo trudnej sytuacji. Po pierwsze, jej jedyny syn zginął w Wietnamie, po drugie, mąż zachorował i umarł...

- Spokojnie, Tess - przerwał mi Carter. - To było ponad dwadzieścia pięć lat temu. Powinna się już z tym pogodzić.

To wystarczyło! Carter Davis stał się w moich oczach kolosalnym, nieprawdopodobnym idiotą.

- Jeśli chcesz wiedzieć, z niektórymi rzeczami nie można się pogodzić! - wrzasnęłam.

Carter zasłoniło oczy z udanym przerażeniem.

- Dobrze, dobrze! Nie unos się tak. Strasznie się podniecasz. - Uśmiechnął się znacząco. - Szkoda że nie podniecasz się tak na mój widok.

- Zamknij się, Carter! - warknęłam, ale on tylko się roześmiał i podszedł do pana Todda, który właśnie pojawił się w klasie.

Zerknęłam na Luke'a, ciągle jeszcze wzburzona. Przyjrzał mi się poważnie. Pewnie myśli, że jestem kompletnie walnięta, pomyślałam. I dobrze! Nic mnie to nie obchodzi.

Sięgnęłam do plecaka i wyjęłam zeszyt do chemii.

- Tess? - odezwał się Luke. Spojrzałam na niego groźnie.

- Co?

- Chcę ci tylko powiedzieć, że jestem z tobą - powie dział cicho. - Bardzo mi się podoba, że tak broniłaś pani McConnell.

Popatrzyłam mu prosto w oczy i dostrzegłam w nich prawdziwy podziw. Poczułam, że się rozumiemy.

- Dzięki. Tak się zdenerwowałam! Kiedy pomyślę, co spotkało panią McConnell...

Ludzie naprawdę po winni być bardziej... no, nie wiem. Chyba sympatyczni...

- Większość na pewno nie jest - rzekł Luke, a ja spłoszyłam się, słysząc w jego głosie gorycz. Nagle uśmiechnął się. Nie mówię o tobie. Ty jesteś bardzo sympatyczna.

Nie wiedziałam, co zrobić. Zwykle, kiedy chłopak mówi o jakiejś dziewczynie, że jest sympatyczna, oznacza to, że go znudziła albo wydaje się mu świętoszkowata. Chłopcy nie chcą, żeby ich dziewczyny były „sympatyczne”. Ale w ustach Luke'a słowo to zabrzmiało jak najwspanialszy komplement.

- Dzięki. - Odwzajemniłam jego uśmiech. Potem dodałam: - A teraz ty masz szansę udowodnić, jak bardzo jesteś sympatyczny.

Uniósł brwi.

- Jak?

- Pozwalam ci pokazać mi, jak rozwiązałeś siódme ćwiczenie z chemii. Byłam przy nim zupełnie bezradna.

Roześmiał się, otworzył zeszyt i zaczął mi cierpliwie tłumaczyć.

## ROZDZIAŁ 7

Przez cały tydzień z zaskoczeniem obserwowałam zmiany, jakie zachodzą w Luke'u. Zachowywał się naprawdę życzliwie, pytał mnie o stan nogi i rozmawiał ze mną na zajęciach, na które chodziliśmy razem. Oczywiście nie stał się raptownie gadatliwy, nic z tych rzeczy! Nadal milczał przez większość dnia, ale i tak zmiana była niesamowita, zwłaszcza jeśli przywykło się, że do tej pory odzywał się dwa, trzy razy dziennie.

Poza tym coraz częściej się uśmiechał, a nawet żartował! Kiedyś opowiedział mi szeptem kawał na angielskim, a ja omal się nie udusiłam, usiłując stłumić śmiech.

Po lekcji, kiedy szłam z Lenny korytarzem, spytała mnie:

- Co cię tak rozbawiło, Tess? Niewiele brakowało, a spadłabyś pod ławkę!

Zachichotałam.

- No, bo Luke powiedział kawał i strasznie mnie nim rozśmieszył. Pani Wallace spojrzała na mnie, jak by chciała mnie zabić! A ja miałam ochotę go zamordować!

Carter Davis, który od pewnego czasu szedł za nami, wtrącił się do rozmowy.

- Nie wiedziałem, że Stoddard to taki żartowniś - rzucił z sarkazmem.

Nie odpowiedziałam. Nadal byłam na niego zła za to, że nazwał panią Connell wariatką. Chyba nie przywykł do chłodu ze strony dziewczyn, bo poczerwieniał i zmył się.

Pod koniec drugiego tygodnia w nowej szkole poczułam, że wreszcie zaczynam się w niej zadomawiać. Wspomnienia o dawnej szkole zaczęły blednąć, a listy od Melissy i innych przyjaciół z Glen Forest nie budziły już we mnie uczucia bólu.

Wiem, że rodzice poczuli ulgę widząc, że tak dobrze sobie radzę. Mnie również ulżyło. Może dlatego że poznałam mnóstwo nowych kolegów. Niektórzy okazali się naprawdę wspaniali - zwłaszcza Lenny - i wcale nie różnili się od moich znajomych z Glen Forest. Może byli troszkę mniej odlotowi, ale to mi nie przeszkadzało. W sobotę zaprosiłam do siebie Lenny i kilka innych dziewczyn. Spędziłyśmy fajnie czas na pogaduszkach, chichotach i słuchaniu kompaktów.

W niedzielę po południu szybko uporałam się z lekcjami, a potem wyszłam z gitarą na ganek. Byłam zupełnie sama, bo mama i tato grali w golfa z rodzicami Cartera. Sędzia Davis i jego żona stali się ich dobrymi znajomymi, co nie cieszyło mnie specjalnie, ponieważ Carter nie budził już mojej sympatii. Carly nadal rzucała mi nienawistne spojrzenia, więc starałam się schodzić jej z drogi.

Siedziałam na kołyszącej się ławeczce na ganku, rozkoszując się ciepłym, słonecznym wrześnieowym popołudniem, i grałam jedną z moich ulubionych rockowych piosenek. Potem

zmieniłam nastrój i uderzyłam pierwsze akordy *Danny boy*. Polubiłam tę piosenkę, od chwili gdy po raz pierwszy zaśpiewaliśmy ją na próbie chóru; teraz znałam ją już na pamięć. Opowieść o matce, żegnającej wyruszającego na wojnę syna, zawsze głęboko mnie poruszała i oczywiście piosenka przypominała mi o pani McConnell i jej synu, który miał już nigdy nie powrócić. Dzięki temu wydawała mi się jeszcze bardziej przejmująca.

Ostatnią zwrotkę zaśpiewałam cicho, niemal błagalnie:

*I wrócisz do mnie przez łąki w letniej krasie*

*Lub gdy pod śniegiem świat zapadnie w sen.*

*Ja będę czekać na ciebie w dzień i w nocy,*

*O Danny, synku mój, tak bardzo kocham cię.*

Dźwięki ostatniego akordu rozpląnęły się w powietrzu. Siedziałam przez chwilę w milczeniu, obejmując oburącz gitarę i myśląc o Billym. Potem podniosłam wzrok i z zaskoczeniem zauważyłam panią McConnell, stojącą tuż obok schodków na ganek. Trzymała wielką papierową torbę. Zerwałam się z ławeczki i podeszłam do niej z uśmiechem.

- Dzień dobry... - zaczęłam i urwałam, z przerażeniem patrząc na łzę, toczącą się po jej policzku. - Proszę pani? Czy coś się stało?

Szybko wytarła twarz ręką.

- Nie, wszystko w porządku. To śliczna piosenka, a ty ją bardzo ładnie śpiewasz.

Dziękuję. Może posiedzi pani ze mną przez chwilę? Weszła na ganek i usiadła na ławeczce. Torbę postawiła na ziemi. Przysiadłam obok.

- Byłam ciekawa, jak sobie radzisz z tą kostką - powiedziała.

- Świetnie! Miała pani rację, to tylko zwichnięcie. Przez kilka dni chodziłam o kulach, ale teraz jest już o wiele lepiej.

- To dobrze. - Wskazała na torbę. - Przyniosłam wam trochę jabłek i dżemu domowej roboty. Brzoskwiniowy i pigwowy.

- Pigwowy?

Musiałam mieć nieszczególną minę, bo uśmiechnęła się.

- Nie jadłaś nigdy dżemu z pigwy? Pokręciłam głową.

- Nawet nie wiem, co to jest ta pigwa.

- To owoc - wyjaśniła pani McConnell. - Duży, żółty i z aksamitną skórką. Nie nadaje się do jedzenia na surowo, bo jest strasznie kwaśny. Ale dżem smakuje wybornie.

Skrzywiłam się, a ona wybuchnęła śmiechem.

- Mój Billy spojrzał tak na mnie, kiedy był zupełnie mały, a ja wmówiłam mu, że buraczki są smaczne i powinien ich przynajmniej spróbować.

- I spróbował? Skinęła głową.

- Tak, i strasznie mu nie smakowały!

- W tej kwestii zgadzam się z Billym - powiedziałam z uśmiechem. - Ale dzem jest na pewno pyszny. Bardzo dziękuję.

- W taki razie bardzo się cieszę. - Spojrzała na moją gitarę. - Grasz bardzo dobrze, Tess. Zawsze chciałam tak grać na jakimś instrumencie. I masz śliczny głos. Ja kraczę jak wrona.

Roześmiałam się.

- Jak wrona?

- Nie, właściwie wrona ma ładniejszy głos. - Znowu zachichotałam. Pani McConnell podniosła się.

- No, pora na mnie. Chciałam tylko zobaczyć, jak się czujesz. Czy Jeff Barry był dla ciebie miły?

- Tak, bardzo go lubię. Kazał mi panią pozdrowić. - Zawahałam się i wyrzuciłam z siebie jednym tchem: - Nie powiedziałam tego dotąd, ale bardzo mi przykro z powodu pani syna. Doktor Barry opowiedział mi o nim... To znaczy o tym, że zginął w Wietnamie, no i w ogóle... - Urwałam. - Ja... Naprawdę mi przykro - dokończyłam niezręcznie.

Usiadła znów na ławeczce i westchnęła.

- Dziękuję ci. Billy był niewiele starszy od ciebie, kiedy zaciągnął się do wojska. Co za absurd, mój Billy miał zabijać ludzi! Przecież nie umiał nawet zarznąć kurczaka na zupe. Ja też tego nie umiem. Ale jednak pojechał. Pisał do mnie listy, usiłował nadrabiać miną, ale ja umiałam czytać między wierszami.

Milczała przez chwilę. Potem odezwała się znowu.

- Wiesz, kiedy spotkałam cię po raz pierwszy, od razu mną wstrząsnęłaś. Siedziałaś w tym drzewnym domku, a potem powiedziałaś, że tęsknisz za swoją wierzbą. Widzisz, w jednym z listów Billy opisał mi wszystkie gatunki drzew w Wietnamie. I dodał: „Mamuś, one są naprawdę piękne, ale - o rety - jak ja tęsknię za naszymi starymi drzewami z Kentucky!”

- Chciałabym go poznać - szepnęłam.

- Nie miałabym nic przeciwko temu, Tess. - Pani McConnell uśmiechnęła się smutno i wstała. - No, teraz już naprawdę sobie pójdę. Uważaj na siebie, słyszysz?

Kiwnęłam głową. Pani McConnell zeszła po schodkach i ruszyła przez nasze podwórze. Siedziałam na ganku jeszcze długo po jej odejściu. Wpatrywałam się w odległe pasmo drzew i usiłowałam zgadnąć, za którym z nich Billy tęsknił najbardziej.

Wrzesień niepostrzeżenie dobiegł końca i nawet się nie obejrzałam, a już zaczął się



drugi tydzień października. Nadal było ciepło, ale w nocy powietrze stopniowo się ochładzało i wkrótce drzewa zapłonęły purpurą, pomarańczem i żółcieniami.

W szkole na razie nie miałam kłopotów. Trafiło mi się już parę klasówek i wypracowań. Na zajęciach z chemii zrobiliśmy kilka doświadczeń, przy czym jakoś udało nam się nie wysadzić klasy w powietrze. Lubiłam lekcje chemii, bo mogłam na nich porozmawiać z Lukiem. Był przy mnie coraz swobodniejszy, choć pewne problemy nadal stanowiły dla mnie tabu.

Jednym z takich zakazanych tematów była jego rodzina. Luke nie chciał też rozmawiać o swoich muzycznych zdolnościach. Kilka razy chciałam go o to spytać, ale zawsze jakoś się wykręcał. Wobec tego wycofałam się, choć strasznie chciałam usłyszeć coś o Swingujących Stoddardach.

Pan Cassin coraz częściej wspominał na próbach chóru o gwiazdkowym koncercie oraz wiosennym musicalu. Nie miałam pojęcia, jak można wystawić jakikolwiek musical, mając do dyspozycji zaledwie dwadzieścia osób - w tym tylko dwóch chłopców.

Na którejś z piątkowych prób pan Cassin powiedział nam o okręgowym konkursie talentów. Podobno zwycięzca miał otrzymać stypendium w wysokości 2 500 dolarów. Kiedy dyrygent oznajmił, że fundatorem jest Tommy Lee Redmond, w sali zawrzało. A już prawdziwe szaleństwo rozpełtało się na wieść, że Tommy Lee zasiądzie w jury.

Odwróciłam się do Lenny.

- Kim jest ten Tommy Lee Redmond? - szepnęłam.

Spojrzała na mnie z osłupieniem.

- Naprawdę nie wiesz? Przecież to najślynniejszy wychowanek naszej szkoły!

- Pierwsze słyszę - wyznałam. - Więc kto to? Miejscowy Donald Trump?

Lenny zachichotała.

- Chyba żartujesz! Tommy Lee to świetny piosenkarz country. Musisz znać jego przebój „Kobieta z cię żarówki”!

- O kurczę - rzuciłam powściągliwie. - Jakoś nie.

- W zeszłym roku zrobił karierę na listach przebojów country. Kiedyś Tommy Lee stanie się prawdziwą gwiazdą, zobaczysz!

- Na pewno - zgodziłam się. - A poza tym to ładnie, że ufundował to stypendium.

Na tym musiałyśmy przerwać rozmowę, bo pan Cassin patrzył na nas znacząco.

Po próbie Lenny podeszła do mojej szafki.

- Zgłosisz się na ten konkurs, prawda? - spytała z nadzieją.

- Nie wiem...

- Ale musisz! W przeciwnym razie wygra Carly Davis. Oczywiście może wygrać i tak, bo wiadomo, jak się nazywa. Ale z pewnością przyda się jej dla odmiany jakaś konkurencja.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, podszedł do nas brat rzeczony Carly.

- Cześć, dziewczyny. - Carter uśmiechnął się olśniewająco.

Odpowiedziałam mu tym samym. Carter bardzo się starał odzyskać moje względy, aż wreszcie się poddałam. Nie wierzę w wieczną urazę, zwłaszcza w stosunku do kogoś obdarzonego urokiem Cartera Davisa.

Lenny wspomniała, że Carter zerwał w tym tygodniu z Dianę Webber. Ostrzegła mnie też, że zamierza się za mnie zabrać. Wzruszyłam tylko ramionami, a Lenny zmarszczyła brwi.

- Chcesz mi powiedzieć, że zamierzasz się z nim umówić?

- Można sobie wyobrazić gorszy los - rzuciłam. Twarz Lenny zachmurzyła się jeszcze bardziej.

- Na przykład randka z King Kongiem, co? Teraz, kiedy Carter stanął obok nas, zmierzyła go nieprzyjaznym wzrokiem. Nagle spojrzała na mnie.

- Muszę już lecieć, Tess. Na razie. Odeszła, ostentacyjnie ignorując Cartera.

- Nareszcie sami. - Znowu się uśmiechnął. Jego piękne orzechowe oczy miały taki wyraz, że zastana wiałam się przez chwilę, czy Lenny nie miała przypadkiem racji. Wyglądał jak lew, zbliżający się do bezbronnej ofiary, czyli mnie.

Odwrociłam się w stronę szafki i zaczęłam wyciągać z niej książki.

- Muszę się pospieszyć, bo ucieknie mi autobus.

- Autobus? - powtórzył Carter wzgardliwie. - Taka dziewczyna nie powinna tłuc się autobusem. Co twój stary sobie wyobraża? Dlaczego nie kupi ci czegoś przyzwoitego?

Choć od pewnego czasu nękałam tatę o samochód, słowa Cartera zabolowały mnie.

- Tata nie chce mnie rozpieszczać - powiedziałam chłodno, usiłując zamknąć drzwiczki mojej kapryśnej szafki.

Carter zatrzaskał je jednym uderzeniem potężnej dłoni.

- Ja chętnie bym cię rozpieścił - mruknął i przysunął się do mnie.

- To cudownie. - Mówiłam poważnym tonem. - W takim razie poproszę o błękitnego Jaguara.

Carter roześmiał się.

- Ale skoro mi go na razie nie kupiłeś, muszę złapać ten autobus - dokończyłam.

- Zapomnij o autobusie, podwożę cię.

- Ale to dla ciebie nie po drodze... - zaczęłam.

- A kto by się tym przejmował? No chodź, nie jechałeś jeszcze moją bryczką. -

Powiedział to tak, jakby żadna dziewczyna przy zdrowych zmysłach nie powinna przepuścić takiej okazji, więc w końcu się zgodziłam.

Na parkingu Carter zatrzymał się przy lśniącym soczystozielonym samochodzie z podnoszonym dachem i z galanterią otworzył przede mną drzwi. Wsiadłam i z podziwem przyjrzałam się wykładanym pluszem siedzeniom.

- Piękny. - Zapięłam pasy.

Carter tylko się uśmiechnął. Wcisnął kasetę w magnetofon i ruszyliśmy. Dzień był ciepły jak w lecie, więc Carter odsunął dach. Mknęliśmy autostradą, aż włosy trzepotały mi wokół twarzy.

Carter zaczął mówić o piłce nożnej. Albo raczej krzyczeć, pokonując ryk muzyki i świst wiatru. Stanowił podporę szkolnej drużyny, więc temat ten był bliski jego sercu. Nie przepadam za futbolem - właściwie przez większość meczu nie mam pojęcia, co się dzieje na boisku - dlatego też monolog Cartera nie zainteresował mnie, ale kiwałam grzecznie głową, wysłuchując jego rozważań o różnych drużynach.

Zbliżaliśmy się do drogi prowadzącej do mojego domu, kiedy na poboczu zauważyłam jakiś samochód. Po chwili rozpoznałam starą furgonetkę Luke'a Stoddarda. Miała uniesioną maskę; dostrzegłam pod nią jakąś sylwetkę.

- Zdaje się, że Luke ma kłopoty - zwróciłam się do Cartera.

Uśmiechnął się.

- Nic dziwnego, taki gruchot. - Ku mojemu przerażeniu nawet nie zwolnił, mijając zepsuty pojazd.

- E, Stoddard! - wrzasnął. - Kup se konia!

Luke spojrział na nas; widziałam błysk złości w jego oczach.

- Ale z ciebie kolega, Carter - rzuciłam z niesmakiem. - Nie przyszło ci do głowy, że można by się zatrzymać i spytać, czy Luke nie potrzebuje pomocy?

- Pomagać Stoddardowi? Mowy nie ma. To palant, zwłaszcza że jeździ takim gruchotem. Jemu nie potrzeba żadnej pomocy.

- Ale zachowałbyś się przyzwoicie - warknęłam. Carter spojrział na mnie z zaskoczeniem.

- Co ty kręcisz z tym Stoddardem?

- Słucham?

- Strasznie się nim interesujesz. Dlaczego?

- Bo tak się składa, że go lubię. Jest miły.

- Właśnie, miły. - Carter prychnął. - Nie mam pojęcia, dlaczego się nim zajmujesz.

Stoddardowie to margines. Nie wiesz, że stary Luke'a był największym moczymordą w okolicy?

Zacisnęłam pięści, z wysiłkiem powściągając wybuch wściekłości.

- Nie każdy może mieć ojca sędziego! - syknęłam.

- Oto Tess Lawrence, obrończyni uciśnionych biedaków!

- To lepsze niż bronić wrednych bogaczy - odcięłam się.

Carter spojrzał na mnie ponuro. Resztę drogi przejechaliśmy, nie odzywając się do siebie. Wskoczyłam z samochodu niemal w biegu.

- Wielkie dzięki, Carter - powiedziałam jadowicie, zatrzasnęłam drzwi i popędziłam do domu. - Co za kretyn! - mruknęłam do siebie, rzucając książki na stół. - Dobrze mi tak, mogłam posłuchać Lenny.

Wyrzałam przez okno i zobaczyłam samochód Cartera, mknący zwirowanym podjazdem w stronę drogi.

Poszłam do swojego pokoju. Zmieniając ubranie nagle poczułam potrzebę sprawdzenia, czy Luke nadal tkwi na poboczu szosy i szarpie się ze swoją ciężarówką. Ale wtedy przypomniałam sobie spojrzenie, jakim zmierzył mnie i Cartera, i rozmyśliłam się. Wiedziałam, że nie byłby zachwycony moim widokiem.

Tej nocy nie mogłam zasnąć. Bez przerwy myślałam o Luke'u. W uszach rozbrzmiewał mi głos Cartera: „Stoddardowie to margines”. Im dłużej o tym myślałam, tym większa ogarniała mnie wściekłość.

Obudziłam się następnego ranka z postanowieniem, że udowodnię Luke'owi, iż nie jestem taką idiotką, jak Carter Davis. Po obiedzie ublażałam mamę, żeby pozwoliła mi pojechać do sklepu swoim samochodem pod warunkiem, że przy okazji zatankuję do pełna. Nawet nie wiedziałam, czy Luke pracuje dziś na stacji benzynowej, ale postanowiłam spróbować.

Kiedy dotarłam na miejsce, nie zauważyłam ani śladu obecności Luke'a. Poczułam bolesny zawód. Dyżurny pracownik stacji benzynowej obsługiwał drobną starszą panią w ogromnym Buicku, więc wysiadłam i bez przekonania ujęłam rączkę pompy, drugą ręką usiłując unieść dźwignię. Oczywiście bez rezultatu. Walczyłam z nimi przez parę minut, aż wreszcie poczułam, że ktoś za mną stoi.

Odwróciłam się i zobaczyłam Luke'a. Nagle, nie wiadomo dlaczego, zaczęłam się denerwować.

- O... cześć, Luke! Patrz, to zupełnie jak déjà vu, prawda? - powiedziałam głupio.

Luke zmierzył mnie chłodnym, nieprzyjaznym spojrzeniem, a ja paplałam dalej:

- Wtedy gdy przyjechaliśmy tu po raz pierwszy, ta pompa też się zacięła. Pamiętasz?

- Pamiętam. - Pochylił się nad pompą, jednym uderzeniem ustawił dźwignię na właściwym miejscu i odwrócił się, żeby odejść.

- Luke, poczekaj! - zawołałam. Zatrzymał się i spojrzał na mnie spode łba.

- Czego?

- Chcę cię tylko przeprosić za to, że Carter nie zatrzymał się wczoraj, kiedy miałeś kłopoty z samochodem. Czasami potrafi zachować się jak kretyn.

- Tak, ale to bardzo przystojny kretyn z fajnym wozem, nie? - warknął Luke.

Teraz ja spojrzałam na niego wilkiem.

- O co ci chodzi?

- Absolutnie o nic. - Wzruszył ramionami. - Co mnie może obchodzić, że łazisz z tym kretynem? Trafił swój na swego.

Zaczęłam się wkurzać.

- Co to ma znaczyć? Chcesz powiedzieć, że jestem taka, jak Carter?

- Nie, nie chcę. Ale należycie do tego samego klubu.

- Do jakiego znowu klubu?

- Daj spokój, doskonale wiesz, o co mi chodzi. Do klubu bogatych. Do klubu ważniaków. Owszem, pamiętam dzień, w którym zjawiliście się tu po raz pierwszy. Powiedziałaś, że to kompletna wiocha. Cóż, może dobry stary Carter ci to wynagrodzi.

Poczułam, że ogarnia mnie furia. Rzuciłam w niego węzem od pompy.

- Masz! - wrzasnęłam. - Nie potrzeba mi tej twojej głupiej benzyny!

Wsiadłam do samochodu mamy i ruszyłam z piskiem opon. W lusterku widziałam sylwetkę Luke'a; stał nieruchomo, gapiąc się za mną, a w rękach nadal piastował wąż od pompy.

## ROZDZIAŁ 8

Gdybym powiedziała, że nie mogłam się doczekać, aż znowu pójdę do szkoły, mocno bym przesadziła. Nie miałam ochoty widzieć Cartera ani Luke'a. Wlokąc się korytarzem w stronę pracowni chemicznej przysięgam sobie, że będę ich po prostu ignorować.

Co nie okazało się prostym zadaniem, ponieważ Carter siedział już na swoim miejscu. Przeszłam go lodowatym spojrzeniem i minęłam go jak powietrze. Natychmiast odwrócił się do mnie z szerokim uśmiechem.

- Ciągłe się na mnie wściekasz, Tess? - spytał. Kiedy nie odpowiedziałam, jego uśmiech zniknął. - Daj spokój. Przecież żartowałem.

- To nie było śmieszne - syknęłam. Carter uniósł rękę i powiedział uroczyście:

- Obiecuję, że nigdy więcej tego nie zrobię, żeby nie wiem co. Kiedy landara Stoddarda znowu się zepsuje, osobiście odholuję ją do mechanika. Co tam, własnoręcznie ją dopcham!

- Pewnie. - Usiłowałam się nie roześmiać, ale wizja Cartera pchającego ciężarówkę Luke'a była zbyt komiczna.

Rozpromienił się.

- To już lepiej! - Miał zamiar powiedzieć coś jeszcze, ale właśnie wtedy nadszedł Brad i o coś go zagadnął.

Luke nie pojawił się, nawet po drugim dzwonku. Nie mogłam się skupić na wykładzie; bez przerwy zastanawiałam się, co mu się mogło przytrafić.

Następnego dnia sytuacja powtórzyła się. Ani śladu Luke'a. Kiedy nie pojawił się w środe, zaczęłam się martwić, że jest chory albo że stało się coś złego.

Dzień dłużył mi się niemiłosiernie; idąc schodami po próbie chóru dziękowałam Bogu, że mogę już wrócić do domu. Z jakiegoś powodu czułam przygnębienie i po raz pierwszy od dawna zaczęłam żałować, że przeprowadziliśmy się do Blossom Creek.

Na korytarzu spotkałam pana Todda. Uśmiechnął się, a ja usiłowałam mu się zrewanżować.

- Panno Lawrence, może pani wie, co się dzieje z pani kolegą z ławki?

Wzruszyłam ramionami.

- Nie, nie wiem. Chyba się zaziębił, czy coś w tym stylu.

- Hmm... - Pan Todd pokręcił głową. - Może zadzwoń do niego, Tess. Dowiedz się, kiedy wróci. Pewnie się ucieszy, kiedy ktoś zgłosi się z pomocą. Chodzisz z nim także na inne zajęcia, prawda?

- Tak. - Staralam się zachować obojętny ton. - Chyba mogę do niego zadzwonić.

- Dobrze! - ucieszył się pan Todd. - To będzie miły gest. No, to lecę na salę gimnastyczną, zanim chłopcy się nawzajem pomordują. Trener nigdy nie zaznaje spokoju.

Pożegnaliśmy się i wyszłam ze szkoły. Czyżbym zgodziła się zadzwonić do Luke'a? Przypomniałam sobie nasze ostatnie spotkanie na stacji benzynowej. Poważnie wątpiłam, żeby rozmowa ze mną sprawiła mu przyjemność.

Dotarłam do domu i rzuciłam się na książkę telefoniczną. Pod literą S znalazłam nazwisko „Stoddard, Charles”. Wiedziałam, że ojciec Luke'a miał na imię Charlie, a zatem musiałam trafić na właściwy trop. Odetchnęłam głęboko, podniosłam słuchawkę i wykreciłam numer.

Nerwowo odliczałam sygnały. Wreszcie usłyszałam nie znany chłopięcy głos. Mój rozmówca oznajmił, że Luke'a nie ma w domu. Gdy spytałam, kiedy wróci, w słuchawce zapadła cisza.

- Nie wiem - powiedział wreszcie chłopiec. Jego głos brzmiał nieufnie. - Jestem Jason, brat Luke'a. Może mu coś powtórzyć?

- No... - Zawahałam się. - Mówi Tess Lawrence. Chodzę razem z twoim bratem na zajęcia i, no cóż... Nie ma go przez cały tydzień, więc chciałam spytać, kiedy wróci. Stracił wiele zajęć i pomyślałam, że może przy niosę mu zeszyty. Chyba że jutro wróci do szkoły.

- Nie, jutro też go nie będzie - poinformował mnie Jason, o wiele bardziej życzliwie. - Ale Luke z pewnością się ucieszy, jeśli go odwiedzisz.

Niespodziewanie dla samej siebie zgodziłam się wpaść do nich nazajutrz po szkole. Jason wyjaśnił mi, jak do nich trafić, i odłożyłam słuchawkę zastanawiając się, w co też się wpakowałam. Wiedziałam, co powie Luke, kiedy brat oznajmi mu, że jakaś Tess przyjdzie jutro po lekcjach. No trudno, pomyślałam. Robię to na prośbę pana Todda. Nic mnie to nie obchodzi.

Mama pożyczyła mi swój samochód i następnego dnia po szkole wyruszyłam w stronę domu Luke'a. Na Peach Street zwolniłam, żeby odczytać numery domów. Zatrzymałam się przed numerem 503; wielki piętrowy dom chylił się ku upadkowi. To chyba tu, pomyślałam z niepokojem, wyłączając silnik i biorąc zeszyty pod pachę.

Na podwórku stał mały rowerek i coś, co wyglądało na pogryzione przez psa kółko do rzucania. Weszłam po schodkach na ganek i zatrzymałam się przed uchylonymi drzwiami. Z wnętrza domu dobiegały dźwięki skrzypiec; domyśliłam się, że to Luke gra. Grał szybko i bardzo dobrze. Przypomniałam sobie słowa Lenny: ojciec Luke'a był jednym z najlepszych skrzypków w Kentucky, a Luke go przewyższył.

Muzyka ucichła; stałam jeszcze przez chwilę, a potem zapukałam. Gdzieś w głębi domu zaszczekał pies, a zaraz potem drzwi się otworzyły. Na progu stanął Luke ze strasznie zdziwioną miną. Miał na sobie podarte dzinsy i kraciastą koszulę narzuconą na biały podkoszulek. Wyglądał na zmęczonego. Włosy miał potargane, a policzki pokryte zarostem.

- Tess? Co ty tu robisz?

Z przeraźliwą jasnością zrozumiałam, że nikt nie zapowiedział mojej wizyty.

- Cześć... - rzuciłam nieśmiało. - Twój brat nie powiedział ci, że wpadnę?

- Który? - Ubiegł mnie, zanim zdołałam odpowiedzieć. - Niech zgadnę; Jason, tak?

Przytaknęłam, a Luke zmarszczył brwi.

- Co za tępak! Nie, nic mi nie mówił i zaraz skręcę mu za to kark.

Uznałam, że nie jestem mile widzianym gościem.

- O, nic sienie stało. - Byłam speszona. - Powiedziałam mu, że przyniosę ci zeszyty, ale jeśli nie masz czasu...

- Nie chciałem, żebyś sobie poszła, Tess. Wściekłem się tylko, że brat mnie...

- Nie ostrzegł? - dokończyłam za niego. Uśmiechnął się.

- Że nic mi nie powiedział. Ale dziękuję. Naprawdę miło z twojej strony, że zadałaś sobie tyle kłopotu.

- Nie ma o czym mówić - mruknęłam. - No, to chyba już pójdę.

- Spieszysz się? - spytał Luke. - Nie wstąpisz na chwilę?

Milczałam, a on szybko mówił dalej:

- Posłuchaj mnie, Tess. Przepraszam za to, co stało się w sobotę. Nie miałem prawa tak na ciebie wrzeszczeć. Po prostu nie lubię Cartera, i tyle. Przepraszam.

Miał tak żalowaną minę, że uśmiechnęłam się.

- Nic się nie stało. Zapomnijmy o tym, dobrze? Właśnie usłyszałam, jak grasz. Jesteś świetny.

Jego policzki zaróżowiły się lekko.

- Dzięki - mruknął i przejechał dłonią po włosach.

- Rany, nawet nie spytałam, jak się czujesz - przy pomniałam sobie. - Mam nadzieję, że już ci lepiej?

- Nie jestem chory - odparł Luke.

- Nie?

- Moja młodsza siostra zachorowała, a mama nie może zwolnić się z roboty. To jej nowa praca.

- Niedobrze. Mam na myśli twoją siostrę i to, że musisz opuszczać lekcje, żeby jej



dopilnować.

Luke wzruszył ramionami.

- No, nie opuściłem znowu tak wiele. Jutro moja ciotka Betty ma wolne, więc posiedzi trochę z Annie.

Z głębi domu rozległ się jakiś żalony głosik.

- Luke!

Luke uśmiechnął się.

- To moja pacjentka. Chcesz do niej zajrzeć?

- Pewnie - zgodziłam się. - Ale tylko na minutkę.

Zaprosił mnie do środka. Ruszyłam za nim, ale nagle zatrzymał się w pół kroku.

- Rany! Zapomniałem cię spytać. Przechodziłaś wietrzną ospę?

- Tak, panie doktorze. Miałam cztery i pół roku i czułam się jak siedem nieszczęść.

- To dobrze. - Roześmiał się. - To znaczy dobrze, że już ją przeszłaś. No to wchodź.

Tym razem udało mi się przejść przez próg, za którym czekał mały brzydki piesek, szczekający ze wszystkich sił.

- To Muszka - powiedział Luke. - Nie bój się. Szczeka jak rotweiler, ale gryzie jak pchła.

Pochyliłam się i pogłaskałam psinę.

- Cześć, Muszko. - Podrapałam ją za uszami. - Jak ci leci?

- Luke! - odezwał się znowu dziecinny głosik.

- Idę! - odskrzyknął Luke. - Zgadnij, kogo ci prowadzę!

Weszliśmy do kuchni; Muszka deptała nam po piętach. Przy stole siedziała mała ciemnowłosa dziewczynka w czerwonej piżamce. Skrzypce Luke'a leżały na stole obok stosu kartek i rozsypanych kredek. Dziewczynka zerknęła na mnie ciekawie. Mogła mieć jakieś pięć, może sześć lat i byłaby ładna, gdyby jej buzi nie szpeciły różowe pęcherzyki pokryte strupkami.

- Annie, to jest Tess - przedstawił mnie Luke.

- Cześć, Tess. - Dziewczynka uśmiechnęła się, a potem westchnęła rozpaczliwie. - Mam wietrzną ospę!

Podeszłam i usiadłam obok niej.

- Wiem. Twój brat mi powiedział. Nie jest to miłe, co?

- Pewnie, że nie - zgodziła się Annie. - Swędzi jak nie wiem co, ale Luke powiedział, że nie wolno mi się drapać.

- I miał rację - potwierdziłam. - Pamiętam, że kiedy przechodziłam wietrzną ospę,

moja babcia opiekowała się mną i powiedziała, że jeśli się będę drapać, padnie na mnie kurza klątwa.

Annie otworzyła szeroko oczy.

- Co to?

- Babcia powiedziała, że zamienię się w kurę! Annie zachichotała.

- Twoja babcia jest śmieszna.

- Tak, to prawda - powiedziałam z uśmiechem. - Między innymi właśnie dlatego ją lubię.

Luke oparł się o stół.

- Może pokażesz Tess swój rysunek, Annie?

Dziewczynka podała mi kartkę. Widniał na niej wizerunek niezwykle kolorowego konia i ogromne uśmiechnięte słońce.

- Ależ to piękne - pochwaliłam. - Zdaje się, że lubisz konie, co?

Dziewczynka kiwnęła głową.

- Ja też zawsze lubiłam.

- Tatuś powiedział, że kupi mi kiedyś konia... - zaczęła Annie. Potem zamilkła i zaczęła ze skupieniem grzebać między kredkami. - Fioletowy to mój ulubiony kolor - powiedziała niespodziewanie. - A twój?

- Chyba niebieski.

Wyraz twarzy Annie powiedział mi, że mój gust nie budzi jej zachwytu. Położyła przede mną czystą kartkę.

- Chcesz coś narysować?

- Dobrze - zgodziłam się. - Ale co?

Annie zamyśliła się, po czym wskazała swojego brata.

- Narysuj jego.

- Hmm. - Czułam na sobie rozbawiony wzrok Luke'a. - Nie jestem najlepszą portrecistką. Może lepiej narysuję abstrakcję?

- Co? - zdziwiła się Annie.

- Portret abstrakcyjny. To taki obraz, na którym nic nie wygląda tak, jak powinno. Zobacz. - Narysowałam kółko, przekreśliłam je kilka razy, a na górze dodałam trójkąt. - Widzisz? Nazwę to „Luke w kuchni”.

Annie spojrzała i roześmiała się.

- Bardzo podobny. - Zachichotała. Luke podszedł i zajrzał mi przez ramię. - Wielkie dzięki, Tess. - Uśmiechnął się z grymasem.

- A więc tak mnie widzisz? Annie zaniósła się chichotem.

- Skoro już pochwaliliśmy się naszymi zdolnościami, może teraz twój brat pokaże nam, co umie? - zaproponowałam, kiedy wreszcie umilkła - Odwróciłam się do Luke'a. - Zagrasz coś dla nas?

- Właśnie! - poparła mnie Annie z zapalem. - Zagraj jeszcze raz „Szarego orła”!

Luke zawahał się, ale prosiłyśmy go tak długo, że wreszcie musiał się poddać. Wziął skrzypce i zagrał tę samą wesołą piosenkę, którą słyszałam stojąc na ganku. Nagrodziłyśmy go oklaskami.

- Fantastycznie! - powiedziałam.

- Teraz zagraj piosenkę o niedźwiedziu - zażądała Annie.

- No, chyba... - zaczął Luke.

- Proszę, proszę, proszę! - zawołała Annie błagalnie.

- Proszę, proszę, proszę! - powtórzyłam za nią jak echo.

Luke roześmiał się i pokręcił głową.

- Dobrze, dobrze, tylko przestańcie. Muszę wziąć gitarę.

- Na gitarze też potrafisz grać? - zdziwiłam się.

- I na harmonijce ustnej - oznajmiła Annie z dumą. - A ja gram tylko na gitarze. Luke mnie uczy.

- Niesamowite - powiedziałam. Luke wrócił do kuchni z gitarą.

- Dobrze, same tego chcieliście. Piosenka o niedźwiedziu.

Uderzył w struny i głębokim, melodyjnym głosem zaczął śpiewać o wujku Walterze, który tańczył z niedźwiedziami. Piosenka była tak idiotyczna, że śmiałam się równie głośno, jak Annie. Po chwili Luke przerwał i zwrócił się do nas:

- A teraz razem zaśpiewamy refren.

Skinęłyśmy głowami i podjęłyśmy melodię, nieustannie wybuchając śmiechem. Kiedy skończyliśmy, Luke uśmiechnął się do mnie.

- Nie wiedziałem, że umiesz śpiewać. Wzruszyłam ramionami.

- Każdy umie.

- Tak, ale ty naprawdę masz talent. Jesteś świetna!

- A teraz Tess zaśpiewa dla nas piosenkę - rozkazała Annie.

- No nie wiem... - mruknęłam owładnięta nagłą tremą.

- Proszę, proszę, proszę! - dobił mnie Luke. Parsknęłam śmiechem.

- Dobrze, poddaję się. Co chcecie usłyszeć?

- Coś poważniejszego - powiedział Luke. - Zmęczyły mnie te wasze chichoty.

Annie znowu zaczęła się krztusić ze śmiechu.

- Zaśpiewam piosenkę, której nauczyłam się na lekcji francuskiego. To kołysanka.

- świetnie! - pisnęła Annie. - Może Luke wreszcie się uspokoi.

- Proszę zwracać się z szacunkiem do starszych. - Luke udawał, że jest oburzony. Potem zwrócił się do mnie. - Problem w tym, że nie znam żadnych francuskich kołysanek. Możesz śpiewać bez akompaniamentu?

- Mogłabym, ale jeśli nie masz nic przeciwko temu i pożyczysz mi gitarę, to sama sobie poradzę.

Bardzo lubię mówić po francusku. Czasami nawet chciałam być Francuzką; wtedy ciągle mogłabym używać mojego ulubionego języka. Śpiewając kołysankę spojrzałam w oczy Luke'owi. Patrzył na mnie z takim przejęciem, że zająknęłam się na chwilę i zupełnie zapomniałam dalszych słów. Jakoś udało mi się dobrać do końca piosenki.

- Masz śliczny głos! - zawołała Annie, kiedy przebrzmiały ostatnie akordy melodii. - Nie uważasz, że Annie ma śliczny głos, Luke?

- Śpiewa jak anioł - powiedział cicho. - Francuski anioł.

Zarumieniłam się. Moje serce zaczęło bić jak oszalałe. Aż do tej chwili nie chciałam przyznać, że zakochałam się w Luke'u Stoddardzie, ale na widok tego uśmiechu zrozumiałam, że beznadziejnie wpadłam. Zapragnęłam uciec jak najszybciej, zanim zrobię coś głupiego.

- Ja... Muszę już lecieć. - Odłożyłam gitarę. - Trzy maj się, Annie. Mam nadzieję, że wkrótce wydobrzejesz.

Ruszyłam do drzwi. Za moimi plecami Annie szepnęła głośno do Luke'a:

- Lubię Tess. To twoja dziewczyna?

Luke mruknął coś, czego nie dosłyszałam, i pobiegł za mną.

- Masz śliczny głos, Tess. - Spojrzał mi głęboko w oczy. Zamierzał powiedzieć coś jeszcze, ale akurat wtedy Muszka zaczęła ujadać jak oszalała.

Na dworze rozległ się jakiś rumor i do domu wpadło czterech rozwrzeszczanych chłopców, z których najmłodszy mógł mieć osiem, a najstarszy trzynaście lat. Na mój widok stanęli w miejscu jak wryci.

Luke popatrzył na mnie smętnie.

- Dzika banda wróciła ze szkoły. Oto moi bracia, Davey, Sam, Jim i - spiorunował wzrokiem najstarsze go z nich - Jason. Chłopcy, to Tess.

Jason jęknął i palnął się dłonią w czoło.

- O rany, zapomniałem ci powiedzieć, że miała przyjść! - Wyszczrzył zęby. - Ale chyba nic się nie stało, no nie? Przecież nie miałaś nic do roboty?

- Słuchaj no - zaczął Luke groźnie, ale Jason zlekceważył go i odwrócił się do mnie.

- Cześć, Tess. Przepraszam, że zapomniałem przekazać Luke'owi wiadomość, ale założę się, że twój widok sprawił mu wielką przyjemność.

- No cóż - odezwałam się z uśmiechem. - Powiedz mi, że go zaskoczyłam.

Luke nadal mierzył wzrokiem Jasona.

- Tess musi już iść. Możesz zacząć robić kolację. Jego młodszy brat westchnął.

- Dobrze, ty wyzyskiwaczu - zgodził się, a potem uśmiechnął się do mnie. - To na razie, Tess. Wpadnij znowu.

Luke wyszedł ze mną z domu. Kiedy dotarliśmy do samochodu mamy, odezwał się:

- Nie sądzę, żeby Jason naprawdę zapomniał. Od dałby wszystko za dobry dowcip. - Zamilkł na chwilę. - Jeszcze raz ci dziękuję. Bardzo rozweseliłaś Annie.

- Ja też się świetnie bawiłam, zwłaszcza na części artystycznej. Do jutra w szkole.

Luke uśmiechnął się.

- Do jutra.

Odjeżdżając odwróciłam się i pomachałam mu ręką. Pomachał mi również. Przez całą drogę do domu podśpiewywałam piosenkę o wuju Walterze, który tańczył z niedźwiedziami.

## ROZDZIAŁ 9

Humor nie opuszczał mnie także następnego dnia, kiedy stanęłam przed moją szafką i wyjęłam z niej zeszyty. Właśnie zastanawiałam się, czy wziąć zeszyt do chemii, kiedy Luke pojawił się obok mnie.

Uśmiechnęłam się do niego radośnie.

- Cześć! Witaj na starych śmieciach. Jak się miewa Annie?

- Znacznie lepiej. Mama mówi, że będzie mogła wrócić do szkoły w poniedziałek.

- To dobrze. Fajny z niej dzieciak.

Luke milczał przez chwilę. Potem odezwał się z wahaniem.

- Wiesz co... Zastanawiałem się... - Urwał.

- Nad czym?

- No, tak sobie myślałem... Weźmiesz udział w konkursie talentów?

- W konkursie...? - Zdziwiłam się. - Rany, zupełnie o nim zapomniałam! Rozumiesz, nowa szkoła, no i...

- Powinnaś, Tess. Mówiłem ci wczoraj, jesteś naprawdę świetna.

Zarumieniłam się.

- Dziękuję. A ty przystąpisz do tego konkursu? Ty też jesteś bardzo dobry.

Luke uśmiechnął się szeroko.

- Czyli, że się zgadzamy. Oboje mamy talent. Dlatego pomyślałem, że... - Znowu zamilkł, po czym dokończył szybko: - Myślałem, że może moglibyśmy wystąpić razem.

Otworzyłam szeroko oczy. - Razem? - powtórzyłam głupio. - Ty i ja? - Właśnie. Mamy dużą szansę zdobyć pierwszą nagrodę. Pieniędźmi podzielimy się po połowie.

- O rany... - Byłam oszołomiona. - No nie wiem...

- Nie martw się - uspokoił mnie szybko. - Nie chcę cię naciskać. Jeśli nie chcesz, zrozumieć.

- Czekaj! - przerwałam mu. - Nie powiedziałam, że nie chcę. Po prostu mnie zaskoczyłeś. Dlaczego nie chcesz wystąpić sam? Gdybyś wygrał, dostałbyś całą sumę.

Luke pokręcił głową.

- Sam nie mam nawet połowy szans. Odkąd usłyszałem twój głos, nie mogę przestać o tym myśleć. Doszedłem do wniosku, że razem jesteśmy nie do pobicia.

Roześmiałam się.

- Bez przesady! Nie do pobicia?

- Dlaczego nie? - Uśmiechnął się. - Poza tym pomyślałem, że fajnie będzie wystąpić

razem.

Byłam tak przejęta tym, że Luke chce ze mną wystąpić, że nie namyślałam się długo.

- Dobrze, zgadzam się! Ale co będziemy śpiewać?

Nigdy nie przepadałam za muzyką country, a skoro w jury zasiądzie Tommy Lee, pewnie rock ani pop nie mają wielkich szans.

- Masz rację - zgodził się Luke. - Ale może się dasz przekonać, Tess. Myślałam, że może zaśpiewamy razem balladę country. Mam taką, która jest dla nas idealna.

- Umiesz komponować? - spytałam z podziwem. Luke Stoddard nieustannie mnie czymś zaskakiwał.

- No, napisałem parę piosenek - przyznał niedbale. - Większość jest taka sobie, ale tą naprawdę możemy się pochwalić. Chciałbym, żebyś jej wysłuchała.

Trochę się zaniepokoiłam. A co będzie, jeśli piosenka Luke'a mi się nie spodoba? Ale powiedziałam tylko:

- Nie mogę się doczekać. Na pewno jest świetna. Jeszcze dzisiaj poproszę pana Cassin, żeby wpisał nas na listę. Nie mamy zbyt wiele czasu, konkurs odbędzie się za niecały miesiąc.

- Wiem. Może zaczniemy próby w ten weekend?

- Bardzo dobrze - zgodziłam się. Miałam nadzieję, że mój głos nie brzmi zbyt entuzjastycznie. Dobrze? Było świetnie, rewelacyjnie, cudownie!

- Może jutro po południu? - zaproponował Luke.

- Wspaniale. Przyjdiesz do mnie o drugiej? Luke skinął głową.

- Jasne. Tylko powiedz mi, gdzie mieszkasz. Wytłumaczyłam mu, a potem aż do dzwonnika na lekcje rozmawialiśmy o naszej przyszłej próbie.

Nazajutrz rano od niechcienia poinformowałam rodziców o konkursie, do którego zamierzam przystąpić razem z Luke'em Stoddardem, kolegą ze szkoły. Wspomniałam też na koniec, jakbym przypomniała sobie w ostatniej chwili, że Luke odwiedzi nas dziś po południu.

Oczywiście nie dali się nabrać na moją nonszalancję. Od razu rozpoczęli tradycyjne rodzicielskie dochodzenie. Chcieli wiedzieć, kim właściwie jest Luke Stoddard. Odpowiedź, której zwykle udzielałam im w takich przypadkach, jakoś ich nie zadowoliła. Czasami rodzice potrafią naprawdę uprzykrzyć człowiekowi życie. Kiedy mówi się im o nowym koledze, zachowują się, jakby miał się okazać porywaczem albo kimś jeszcze gorszym.

Po chwili dali mi spokój. Pewnie liczyli na to, że skoro Luke się u nas pojawi, będą mogli wziąć go na spytki. Mogłam tylko mieć nadzieję, że nie zrobią mi wstydu.

Kiedy rodzice skończyli się bulwersować wizytą Luke'a, powiadomili mnie, że będziemy mieli gości na kolacji. Wiadomość o rychłym przybyciu sędziego Davisa z rodziną nie uszczęśliwiła mnie specjalnie.

- Przyjdą wszyscy? - spytałam niechętnie.

- Tego nie wiemy - rzekł tato. - Sędzia nie był pewien, czy jego dzieci znajdą trochę wolnego czasu. W końcu to sobotni wieczór! No, ale twoja matka zaprosiła ich wszystkich.

- Myra Davis twierdzi, że Carter, jej syn, chodzi z tobą do jednej klasy.

- Tak, chodzi - przyznałam bez entuzjazmu. - A je go siostra śpiewa w chórze.

- Podobno Carter jest podporą szkolnej drużyny - powiedział tato.

Jęknęłam w duchu. Tato ma fioła na punkcie futbolu. Już teraz mogłam przewidzieć, że przez cały wieczór będzie dyskutował o wadach i zaletach drużyn liceum Blossom Creek i Chicago Bears. Postanowiłam jednak spojrzeć na tę sytuację od lepszej strony. W końcu mieliśmy sobotni wieczór, więc Carly i Carter pewnie umówili się z kimś na randkę.

Po obiedzie z rosnącym zdenerwowaniem zaczęłam czekać na Luke'a. Co zrobię, jeśli jego ballada okaże się okropna? A jeśli nasze głosy nie będą do siebie pasować? A jeśli nam się nie uda i Luke na powrót stanie się ponurym odludkiem?

Stara furgonetka Luke'a zatrzymała się na naszym podjeździe równo z wybiciem godziny drugiej.

- Czy ten gruchot należy do twojego muzycznego kolegi, Tess? - Tato wyjrzał przez okno.

- Tak - mruknęłam i wybiegłam z domu.

Na ganku stał Luke, w objęciach trzymał futerał. Wpuściłam go do środka. Rozejrzał się i gwizdnął cicho.

- Masz piękny dom.

Zaprowadziłam go do salonu, żeby mieć już z głowy to, co i tak musiało się stać. Na szczęście rodzice zachowali się przyzwoicie i wkrótce opuścili dom.

Poszłam na górę po gitarę. Kiedy wróciłam, Luke oglądał moje fotografie, wiszące na ścianach salonu. Były oprawione w ramkę, mającą kilka okienek; mama umieściła w nich zdjęcia, przedstawiające mnie od czasów niemowlęctwa aż do dzisiaj.

Luke uśmiechnął się do mnie, a ja potrząsnęłam głową.

- Wiem, wiem. To trochę krępujące, ale co mogłam zrobić? Przynajmniej rodzice nie trzymają na widoku moich dzieciennych bucików.

Jeszcze raz przyjrzał się zdjęciom.

- Nie masz rodzeństwa, prawda?



- Tak, jestem jedynaczką. Zdaje się, że moi rodzice przyjrzeni mi się i uznali, że jestem wystarczającym utrapieniem.

- Nie wierzę w to ani na jotę. - Luke uśmiechnął się ciepło.

- Zawsze chciałam mieć brata lub siostrę - wyznałam. - Zazdroszczę ci takiej dużej rodziny.

- To może kogoś adoptujesz? - Roześmiał się. - Na przykład Jasona?

- Daj spokój, lubię go! - powiedziałam wesoło. - Ale nie rozumiem, czemu uważasz, że umyślnie nie zawiadomił cię o mojej wizycie.

- Uważał, że ci powiem, żebyś się nie fatygowała. Pewnie myślał, że robi mi wielką przysługę, zapraszając do mnie dziewczynę. Jace to Don Juan młodszych klas i trochę się martwi, że jego starszy brat jest beznadziejnie nieśmiały w kontaktach z dziewczynami.

- Nie dziwię się, że chciałeś skrócić mu kark!

- Teraz już nie chcę. - Na widok jego uśmiechu serce zaczęło mi topnieć.

- W gruncie rzeczy naprawdę zrobił mi przysługę - dodał.

Nie znalazłam odpowiednich słów, więc powiedziałam tylko:

- No dobra, bierzmy się do pracy.

Luke otworzył futerał i wyjął z niego gitarę oraz kilka kartek papieru.

- Przyniosłem parę innych piosenek, na wypadek gdyby ballada, o której mówiłem, nie spodobała ci się.

- Może ją zaśpiewasz? - zaproponowałam. - Nie mogę się już doczekać.

Luke uderzył w struny gitary.

- Piosenka nazywa się „Pościg za miłością”.

Od pierwszej chwili stało się dla mnie jasne, że niepotrzebnie się zamartwiałam. Piosenka nie była okropna. Aż do tej chwili nie przepadałam za muzyką country, ale teraz musiałam przyznać, że nie miałam racji. Ballada Luke'a opowiadała o dwojgu ludziach, którzy znajdują prawdziwą miłość, a potem ją tracą i od tej pory ich całe życie jest pościgiem za uczuciem, o którym nie mogą zapomnieć. Piosenka była jednocześnie śmieszna, słodka i smutna.

- Przepiękna - powiedziałam, kiedy przebrzmiały ostatnie tony - Teraz ja także uważam, że jesteśmy nie do pobicia. Z taką piosenką nie możemy przegrać!

Luke miał zadowoloną minę.

- Naprawdę ci się podoba?

- Zwariowałeś? Szaleję za nią! Do roboty!

- Szybko nauczyłam się piosenki i przez kilka godzin ćwiczyliśmy bez wytchnienia.

Czułam coraz większe podniecenie. Nasze głosy pasowały do siebie idealnie; jako duet byliśmy bezkonkurencyjni.

Około czwartej Luke odłożył w końcu gitarę.

- Może na tym skończymy?

- Zgadzam się. Zaczyna mnie już drapać w gardle.

- A ja muszę się przejść. Masz ochotę na spacer?

Skinęłam głową razem poszliśmy ścieżką prowadzącą nad staw. Był ciepły październikowy dzień, jesień w pełnej krasie. Luke stanął i spojrzał na czerwone i rude wzgórza za domem.

- Masz tu wspaniały kawałek świata.

- Tak, to prawda. - Rozejrzałam się. Czułam się jak Scarlett O'Hara, dumna dziedziczka Tary.

Zeszliśmy nad staw i usiedliśmy na trawie. Przez chwilę przyglądaliśmy się kaczkom, unoszącym się na falach. Potem zaproponowałam, żebyśmy poszli dalej.

- Chcę ci pokazać mój domek na drzewie - powie działałam. - Właściwie nie jest mój, ale skoro z niego spadłam, uważam, że mam do niego jakieś prawo.

Luke uśmiechnął się.

- Dobrze, ale nie wyobrażaj sobie, że na niego wejdziesz.

Razem ruszyliśmy znajomą ścieżką prowadzącą pomiędzy drzewa. Kiedy znaleźliśmy się na miejscu, oboje spojrzeliśmy w górę. Liście starego drzewa płonęły wspaniałą purpurą.

- Naprawdę nie chcesz tam wejść? - spytałam.

- Nie mam najmniejszej ochoty - zapewnił mnie Luke. - Tak sobie tylko popatrzę z dołu.

Podeszłam do drzewa i poklepałam jego pień.

- Wiesz, co to za drzewo?

- Górski wiąz - stwierdził rzeczowo Luke.

- Pierwsze słyszę. Pewnie rośnie tylko w Kentucky... - Nagle pomyślałam o Billym McConnellu i spojrzałam ze smutkiem na domek.

- Coś się stało? - spytał Luke.

- Pomyślałam o chłopcu, który zbudował ten domek. Był synem pani McConnell.

- Czy to nie on zginął w Wietnamie? Skinęłam głową.

- Pomyślałam o tym, jak bardzo musiał kochać to miejsce... I że nigdy tu nie wrócił. Biedna pani McConnell. To musiało być dla niej straszne. - Zawahałam się. Nigdy jeszcze nie ośmieliłam się wspomnieć o ojcu Luke'a, ale teraz wydało mi się to konieczne.

- Nigdy nie straciłam kogoś, kogo kocham - szepnęłam. - Słyszałam o twoim ojcu, Luke. Chcę ci tylko powiedzieć, że bardzo mi przykro.

- Dziękuję - powiedział szorstko. Zrozumiałam, że nie chce o tym mówić. Zupełnie, jakby postawił między nami znak „wstęp wzbroniony”.

Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy. Potem Luke nachylił się i podniósł z ziemi liść - przepiękny i purpurowy; jego spiczaste części rozkładały się niczym wachlarz.

Wzięłam go z uśmiechem.

- Czy ty także w dzieciństwie zbierałaś jesienne liście?

Luke również się uśmiechnął.

- Jasne. Wkładałem je między kartki książki, żeby zachować je na zawsze.

Założyłam liść za ucho.

- Jak ci się to podoba? Może zapoczątkuję nową modę?

Spojrzelśmy na siebie; Luke nagle spowaźniał. Podeszedł do mnie i poczułam, że moje serce zaczyna bić jak oszalałe. Jego wargi zatrzymały się o milimetr przed moimi i wtedy właśnie ktoś zaczął głośno wołać mnie po imieniu. Drgnęliśmy i odskoczyliśmy od siebie.

- Tess! - rozległo się znowu. Zmarszczyłam brwi. Rozpoznałam głos ojca. Byłam wściekła, że przerwał mi w tak romantycznym momencie. A w ogóle, co on tu robi? Szpieguje nas?

Westchnęłam ciężko.

- Tu jestem, tato! - krzyknęłam. Zerknęłam na Luke'a; widać było, że myśli to samo, co ja.

Wkrótce na ścieżce pomiędzy drzewami pojawił się tato.

- A więc tu jesteście! Martwiliśmy się o ciebie, Tess. Nie wiedzieliśmy, dokąd poszłaś.

- Wybrałam się na spacer z Lukiem. - powiedziałam z rozdrażnieniem.

- Zrobiło się późno. Zapomniałaś, że mamy dziś gości? Davisowie zjawiają się u nas za godzinę, a twoja matka nie zrobi wszystkiego sama.

Davisowie! Zupełnie o nich zapomniałam. Zerknęłam na nieprzeniknioną minę Luke'a.

- Dobrze, tato. Wrócimy za parę minut.

Ojciec spojrzał na Luke'a, jakby coś sobie przypomniał.

- Oczywiście, jeśli chcesz zostać na kolacji...

- Dziękuję panu - odparł Luke grzecznie - ale muszę wracać do domu.

Kiedy tato zniknął pomiędzy drzewami, odezwałam się:

- Zupełnie straciłam poczucie czasu. Chyba powinniśmy wrócić.  
- Nie wiedziałem, że twoi rodzice tak się przyjaźnią z Davisami.  
- Tato polubił sędziego Davisa, a mama i pani Davis chyba też się dogadały - wyjaśniłam. - Ale na razie ich nie poznałam. Jeszcze u nas nie byli.  
- Czy Carter też jest zaproszony? - spytał Luke tonem wypranym ze wszelkich uczuć.  
- Wątpię - powiedziałam szybko. - Pewnie umówił się na randkę.  
Luke milczał, ale jego mina nie wróżyła nic dobrego. Stłumiłam westchnięcie. Co za żalorny koniec tak obiecującego popołudnia!

W milczeniu dotarliśmy do domu. Luke pożegnał się z moimi rodzicami, a ja odprowadziłam go do jego starej furgonetki.

- Dzięki za gościnę. Zdaje się, że dobrze nam idzie.  
- Świetnie się bawiłam. Powiem ci jedno, partnerze: nie ma najmniejszej wątpliwości, że wygramy ten konkurs. - Zauważyłam z radością, że Luke uśmiecha się w odpowiedzi. - Co powiesz na jutrzejszą próbę?

- Niestety, pracuję. - Ale może w poniedziałek po lekcjach? Tym razem ja zapraszam ciebie. Może po próbie pójdziemy coś zjeść?

Rozpromieniłam się. Wyglądało na to, że umawiamy się na prawdziwą randkę!

- Z radością.

- Dobrze. To do poniedziałku - powiedział Luke, wsiadając do furgonetki.

Popatrzyłam za nim z rozmarzonym uśmiechem. Potem przypomniałam sobie o wizycie Davisów i pędem wróciłam do domu.

## ROZDZIAŁ 10

Mama oznajmiła, że przyjęcie będzie dość uroczyste, więc kiedy skończyłam pomagać jej w kuchni, zostałam zmuszona do przebrania się. Posłusznie włożyłam błękitną sukienkę z okrągłym dekoltem i kloszową spódnicą, modląc się, by kolacja nie okazała się zbyt przykra i żeby Carter i jego siostra się nie pojawili. Usiadłam przy toalecie, by umalować się i uczesać. Żałowałam, że nie wyszłam gdzieś z Lukiem. Jeszcze nigdy nie widział mnie w odświętnym ubraniu.

Jeszcze raz zerknęłam w lustro i zeszłam na dół. Tato siedział w salonie; miał na sobie garnitur i wyglądał, jakby zszedł wprost ze stron żurnalu. Powitał mnie uśmiechem.

- Ślicznie wyglądasz, kochanie.

- Ty też, tato. Gdzie mama?

- Ciągłe się ubiera. Powinna się pospieszyć, bo nasi goście mogą się tu zjawić w każdej chwili.

Jeszcze nie skończył mówić, a na zwirowanym podjeździe zatrzymał się jakiś samochód.

- Oho, to na pewno Davisowie - domyślił się tato. Mama spłynęła ze schodów; w różowej jedwabnej sukni i wiszących złotych kolczykach wyglądała jak jedna z pięknych bohaterek jej powieści.

Rodzice podeszli do drzwi na spotkanie gości. Ja wlokłam się za nimi niechętnie. Tato otworzył drzwi dokładnie w chwili, gdy sędzia Davis i jego żona wysiedli z Cadillaca. Sędzia był wysoki, opalony i wspaniale zbudowany, a siwiejące włosy nadawały mu bardzo dystyngowany wygląd. Pani Davis okazała się bardzo atrakcyjną, elegancką blondynką, młodszą od niego o przynajmniej dziesięć lat. Oboje uśmiechali się przyjaźnie, wymieniając uściski dłoni z moimi rodzicami. Potem sędzia odwrócił się do mnie.

- A ta panienska to pewnie Tess. Nic dziwnego, że Carter tak się cieszył na ten wieczór.

Opuściła mnie wszelka nadzieja; z samochodu wysiadła nieco nadąsana Carly i rozpromieniony Carter. Kiedy wreszcie wszystkie uprzejmości dobiegły końca, mama zaprosiła gości do salonu. Byłam niezmiernie zajęta przynoszeniem koktajli i przystawek, nic dziwnego więc, że nie miałam okazji pogawędzić z Carterem i jego siostrą.

Wreszcie wszyscy zasiedli przy stole z wiśniowego drewna. Mama posadziła państwa Davis po jednej stronie stołu, a ja musiałam usiąść po przeciwnej stronie, między Carly i Carterem.

Carter pochylił się do mnie, roztaczając wokół swój słynny urok.

- W tej sukience wyglądasz bajecznie - szepnął.

- Dzięki. Ty też prezentujesz się nieźle.

Prawdopodobnie większość dziewczyn uznałaby słowo „nieźle” za zbyt powściągliwe. Carter miał na sobie nieskazitelnie skrojony garnitur. Jeśli dodać do tego ten jego olśniewający chłopięcy urok i jasne włosy, mógł uchodzić za syna Roberta Redforda.

W miarę upływu czasu sędzia, który okazał się bardzo gadatliwy, zupełnie zdominował rozmowę. Pani Carter wreszcie zdołała wtrącić uwagę o pięknej pogodzie, a Carly dodała:

- Mam nadzieję, że tak samo ładnie będzie w przy szła sobotę, na moje przyjęcie z okazji Halloween. Nie lubię, kiedy trzeba wyjść na deszcz, który rujnuje ci fryzurę... i w ogóle.

- Skoro już mówimy o twoim przyjęciu... - wtrącił Carter, posyłając jej znaczące spojrzenie.

- A tak - powiedziała Carly bez entuzjazmu. Spojrzała na mnie. - Miałam cię spytać, czy nie zechciałabyś do mnie przyjść, Tess. W następną sobotę, o ósmej wieczorem. Będą głównie ludzie z wyższych klas, ale pozwalam mojemu braciszкови zaprosić także swoich małych przyjaciół.

- Jesteś doprawdy zbyt łaskawa, - Carter wyszczerzył zęby. - I co ty na to, Tess? To bal kostiumowy, na pewno się ubawisz.

Wyglądało na to, że wszyscy przy stole czekają na moją odpowiedź. Choć naprawdę nie miałam ochoty iść na tę zabawę, zawahałam się.

- Bardzo mi miło, Carly, ale nie mam żadnego kostiumu i...

Ku mojemu przerażeniu mama przerwała mi w pół słowa.

- Ależ masz, kochanie. Ten kostium, który włożyłaś w zeszłym roku na przyjęcie u Melissy. - Zwróciła się do pani Davis. - Było rozkosznie. Dzieci poprzebierały się za postaci z bajek, a Tess wystąpiła jako... - Mama popatrzyła na mnie i urwała, zmrożona moim spojrzeniem.

- Niech zgadnę - wtrącił się Carter. - Pewnie byłaś Śpiącą Królewną? Kopciuszkiem?

- Nie. Czerwonym Kapturkiem - wymamrotałam. Carter uśmiechnął się.

- Super! A zatem, skoro masz kostium, będziesz musiała przyjść.

Carly uśmiechnęła się lodowato.

- Cudownie - powiedziała i zmieniła temat. - Słyszałam, że przystępujesz do konkursu, Tess.

- Naprawdę? - zdziwił się Carter. - I co robisz? Żonglujesz batutą?

- Nigdy tego nie potrafiłam robić - odparłam kwaśno. - Zamierzam śpiewać.

- Słyszałaś, Carly? - Carter zwrócił się do siostry. - Wygląda na to, że będziesz miała konkurencję.

Carly zignorowała go, kierując całą uwagę na mnie.

- Słyszałam też, że będziesz śpiewać w duecie z Lukiem Stoddardem.

Carter zrobił zdziwioną minę.

- Śpiewasz ze Stoddardem? Skinęłam głową, a tato dodał:

- Skoro już o tym mówimy, oboje ćwiczyli dziś w naszym domu. Niestety, ja i Ruth wyjechaliśmy do miasta, więc nie mieliśmy okazji ich usłyszeć. Tess mówi, że chłopak Stoddardów jest niezłym muzykiem.

- I ma zupełną rację - powiedział sędzia. - Luke ma to we krwi. Pamiętam, jak występował ze swoim tatą. Ludzie uważają, że Charlie Stoddard mógłby grać w najlepszej orkiestrze, gdyby nie alkohol, który w końcu go zabił.

- Alkohol? - powtórzyła mama, najwyraźniej wstrząśnięta.

Sędzia skinął smutno głową.

- Tak, Charlie zawsze trzymał w dłoni skrzypce albo butelkę, a czasami i to, i to. Nikt się nie zdziwił, kiedy w zeszłym roku rozbił się na drzewie i zginął.

- Straszne - przejęła się mama, wymieniając z tatą znaczące spojrzenia.

Odetchnęłam z ulgą, kiedy pani Davis zaczęła opowiadać o nowej restauracji w Blossom Creek.

Reszta wieczoru upłynęła w łatwy do przewidzenia sposób. Tak jak się spodziewałam, tato, Carter i sędzia zaczęli rozmawiać o futbolu, podczas gdy my siedziałyśmy w milczeniu i słuchałyśmy albo - przynajmniej jeśli chodzi o mnie - udawałyśmy, że słuchamy. Byłam szczęśliwa, kiedy Davisowie wreszcie zaczęli się żegnać.

Razem z rodzicami odprowadziłam ich na ganek. Carter stanął tuż przy mnie.

- Bardzo się cieszę, że pójdziesz ze mną na ten bal - szepnął mi do ucha. - W szkole obgadamy szczegóły: kiedy mam po ciebie przyjechać i takie tam.

Aż do tej pory nie przyszło mi do głowy, że idę na przyjęcie Carly jako dziewczyna Cartera. Teraz, kiedy zwrócił mi na to uwagę, jakoś się nie ucieszyłam.

Carter i jego rodzina odjechali swoim wielkim Cadillakiem, a my wróciliśmy do domu i padliśmy na krzesła w salonie.

- Posprzątam jutro, kochanie - zaproponował tato. - Jestem skonany.

- Masz moją zgodę. - Mama uśmiechnęła się do mnie. - Carter robi wrażenie miłego chłopca. Jest taki grzeczny i elegancki...

- I zna się na piłce nożnej - dodał tato. Wzruszyłam ramionami z rozdrażnieniem.

- Nie lubię ani piłki, ani piłkarzy.

- Wiem. Bardziej odpowiadają ci artyści, nieprawdaż? - drażnił się ze mną tato. - Na przykład muzycy.

- Daj spokój, tato - syknęłam.

- Tess... - zaczęła mama z ociąganiem. - Wiedziałaś, co stało się z ojcem Luke'a? Skinęłam głową.

- To czemu nam nie powiedziałaś?

- Nie wiem. - Wzruszyłam ramionami. - Jakoś się nie złożyło.

Spojrzałam na zmartwioną twarz mamy i westchnęłam.

- Przecież nic się nie stało!

- Widzisz, kochanie, wygląda na to, że sytuacja rodzinna Luke'a jest... niekorzystna.

- Owszem, nie jest korzystnie stracić ojca - warknęłam.

- Ale ten ojciec najprawdopodobniej był alkoholikiem.

- Czy to wina Luke'a? - spytałam zaczepnie.

- Oczywiście, że nie - powiedziała mama. - Ale... - Spojrzała prosząco na tatę.

- Nie złość się, Tess - powiedział. - Martwimy się o ciebie, to wszystko.

- Nie musicie. Nie jestem już dzieckiem. - Wstałam z krzesła i dodałam: - A teraz, jeśli mi wybaczyście, pójdę się położyć.

Rozbierając się myślałam o wydarzeniach tego dnia. Omal nie zaczęłam całować się z Lukiem, co było cudowne, ale wyglądało na to, że umówiłam się z Carterem na ten cholerny bal kostiumowy, co zupełnie nie wydawało mi się cudowne. A jeszcze mniej cudowne było to, że rodzice najwyraźniej woleli Cartera od Luke'a.

Dlaczego wszystko nie może być prostsze? - pomyślałam smutno, wślizgując się pod kołdrę.

W poniedziałek rano wchodziłam właśnie do pracowni chemicznej, kiedy w drzwiach zatrzymał mnie czyjś głos. Odwróciłam się; Carter uśmiechał się do mnie radośnie.

- Cześć, Tess. Cudownie bawiłem się u ciebie w sobotę.

I właśnie w tej chwili pojawił się Luke. Zerknął na nas i zamierzał przejść obok, ale Carter go zatrzymał.

- Hej, Stoddard! Podobno będziesz śpiewać z Tess w duecie. Świetnie. - Poklepał Luke'a po plecach, co zostało przyjęte bez entuzjazmu. Potem zwrócił się do mnie. - Nie mogę się doczekać, aż mi zaśpiewasz. I nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć cię w kostiumie.



- W kostiumie? - zdziwił się Luke. - W jakim kostiumie?

Carter wyszczerzył zęby. - O, nie chodzi o twój występ, Stoddard, choć może to i dobry pomysł. Mówię o kostiumie, jaki Tess włoży na imprezę, na którą zabieram ją w sobotę. Będzie Czerwonym Kapturkiem. - Pochylił się i zmierzył mnie pożądlwym wzrokiem. - Strzeż się wielkiego złego wilka, Kapturku!

Spojrzałam bezradnie na Luke'a; na jego twarz powróciła dawna ponura mina. Bez słowa podszedł do naszej ławki.

- Coś mi się zdaje, że Stoddard wstał dziś z łóżka lewą nogą - dowcipkował Carter. - Lepiej go rozwesel, Tess. Ja muszę pogadać przez chwilę z Bradem. Na razie - powiedział i opuścił mnie.

Usiadłam obok Luke'a. Wyjął zeszyt i wpatrywał się w niego ponuro.

- Luke? - odezwałam się nieśmiało. Rzucił mi nie chętnie spojrzenie. - Słuchaj, jeśli chodzi o to, że umówiłam się z Carterem...

Luke przerwał mi w pół słowa.

- Możesz się umawiać, z kim chcesz, to nie moja sprawa.

- Widzisz - ciągnęłam, próbując nie zwracać uwagi na jego wrogość. - On i jego rodzice przyszli do nas w sobotę...

- Zdaje się, że miał mieć randkę - znowu przerwał mi Luke.

- Powiedziałam, że może mieć randkę. - Zmarszczyłam brwi. - Czy możesz przestać mi przerywać i posłuchasz mnie przez chwilę? Nie umówił się, Carly też nie, więc przyszli do nas, a Carly wspomniała, że urządza w sobotę przyjęcie, i Carter zmusił ją, żeby mnie zaprosiła, a ja nie mogłam odmówić.

- Dlaczego?

- Bo to by było niezręczne. Wiesz, ich rodzice słuchali tego, no i w ogóle...

Luke znowu wbił wzrok w swój zeszyt.

- No tak, to wszystko tłumaczy - powiedział sarka stycznie.

Rozumiałam jego rozdrażnienie.

- Daj spokój. Naprawdę nie mam ochoty iść na tę zabawę, z Carterem czy bez niego. Może uda mi się jakoś wykręcić.

- Niby po co, Kapturku? Na pewno ty i wielki zły wilk będziecie się świetnie bawić.

- Proszę cię, Luke. - Westchnęłam. - Powiedziałam ci, że nie mam ochoty tam iść. Przestańmy się kłócić. Jesteśmy partnerami, pamiętaj o tym, a po lekcjach ma my próbę w twoim domu.

- Zapomnijmy o tym, dobrze? - mruknął.

- O czym?

- O próbie. O występie. O konkursie. Darujmy sobie.

Otworzyłam szeroko oczy.

- Nie chcesz wziąć udziału w konkursie? Czy nie chcesz wystąpić ze mną? - Nie odpowiedział, więc usiadłam wściekła obok niego. - Dobrze, skoro tego sobie życzysz!

Otworzyłam zeszyt. Ze wszystkich sił starałam się nie wybuchnąć płaczem.

## ROZDZIAŁ 11

W sobotni wieczór usiadłam w swoim pokoju i zaczęłam zaplatać warkocze, rozmyślając o koszmarnym tygodniu, który miałam za sobą. Od naszej rozmowy na chemii Luke nie odezwał się do mnie ani słowem, a ponieważ zupełnie straciłam dla niego głowę, czułam się okropnie.

A Carter tylko zaogniał sytuację. Rozповідаł wszem i wobec, że zabiera mnie na zabawę z okazji Halloween. W końcu staliśmy się tematem szkolnych plotek. Moje koleżanki, zwłaszcza Dawn Ritter, zazdrościły mi szczęścia, jakie mnie spotkało. Chociaż nie, nie wszystkie były zazdrosne; Lenny wyraźnie dała mi do zrozumienia, że ją zawiodłam, co przygnębiło mnie jeszcze bardziej, bo tylko jej opinia naprawdę się dla mnie liczyła.

Westchnęłam i zawiązałam pierwszy warkoczek. Naprawdę nie miałam ochoty iść na przyjęcie. Przede wszystkim Carly zaprosiła uczniów ze starszych klas, których nie znałam, a poza tym wizja towarzystwa Cartera przyprawiała mnie o mdłości.

- O co ci chodzi? - zadałam pytanie swojemu odbiciu w lustrze. - Luke dał ci bardzo wyraźnie do zrozumienia, że nie chce mieć z tobą nic wspólnego. A przecież każda dziewczyna w szkole dałaby sobie obciąć rękę za randkę z Carterem Davisem. W końcu jest bardzo popularny, przystojny i bogaty. Czego jeszcze można chcieć?

Zmarszczyłam brwi i popatrzyłam w lustro. Był jeszcze jeden powód, dla którego obawiałam się przyjęcia Carly. W kostiumie Czerwonego Kapturka czułam się idiotycznie. W zeszłym roku na przyjęciu u Melissy był na miejscu, wśród Kopciuszków, Calineczek i Kotów w Butach. Niestety, Carly i jej przyjaciele na pewno uznają go za niepoważny i głupi. Znowu poczułam się jak dziecko - w ostatniej chwili uznałam, że nie podoba mi się moje przebranie, i doprowadziłam mamę do szału, marudząc tak długo, aż zgodziła się znaleźć dla mnie coś innego.

Wstałam od toaletki i wzięłam rozpostartą na łóżku czerwoną pelerynkę. Nałożyłam ją, spojrzałam w lustro i wzdrygnęłam się. Tak, bez wątplenia wyglądałam śmiesznie. Pod płaszczykiem miałam krótką austriacką sukienkę na szeleczkach, a spod obszernego kaptura spływały dwa mysie ogonki. Nagle zapragnęłam znaleźć się w środku lasu, w drodze do domku babci. Przynajmniej nie musiałabym iść na przyjęcie Carly.

Znowu westchnęłam ciężko, wzięłam koszyk, mający służyć mi za torebkę, i zeszłam po schodach. Stałam w drzwiach salonu, a rodzice rozpromienili się na mój widok.

- Wyglądasz zachwycająco, kochanie - powiedziała mama.

- To prawda, dziecinko - poparł ją tato. - Ale uważaj na...

- Wiem, wiem. Na wielkiego złego wilka. - Jęknęłam. Zdałam sobie sprawę z tego, że zdanie to będzie mi towarzyszyć przez resztę wieczoru. Usiadłam na kanapie i zaczęłam czekać na Cartera. Nie minęło wiele czasu i przed naszym domem rozległ się pisk opon.

- To pewnie Carter. Wyjdę do niego. - Wybiegłam z salonu. Ale kiedy otworzyłam drzwi, na zewnątrz nie zauważyłam nikogo.

- Carter? - zawołałam, rozglądając się. Wtedy zza ławeczki dobiegł mnie jakiś głos.

- Czerwony Kapturku...

Od razu zorientowałam się, że Carter nieudolnie kogoś naśladuje - pewnie jakiegoś nie znanego mi aktora.

- Kiedy wejdiesz dziś do lasu, uważaj na... Przewróciłam oczami.

- Wiem, wiem. Na wielkiego złego wilka.

- Nie, Kapturku, na wielkiego złego... - Carter wy skoczył zniemacka zza ławeczki - ...psychopatę!

Podskoczyłam chyba pół metra w górę, a on zaniósł się wariackim rechotem. Miał na twarzy maskę Freddy Kruegera i wymachiwał zakrzywionym plastikowym nożem - przynajmniej miałam nadzieję, że nie jest prawdziwy.

- Bardzo śmieszne - wycedziłam przez zaciśnięte zęby.

Zdjął maskę i uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Nigdzie nie mogłem znaleźć kostiumu wilka. - Podszedł do mnie i powiedział cicho:

- Wyglądasz świetnie, Kapturku, mam ochotę cię zjeść.

- Wielkie dzięki - mruknęłam. - Wejść do domu, Freddy, i przywitaj się z moimi rodzicami. Tylko nie zrób im krzywdy, dobrze?

Carter roześmiał się i poszliśmy po rodzicielskie błogosławieństwo.

Potem Carter zawiózł mnie do swojego domu, po drodze zabierając Brada Robinsona i Mandy Palmer. Choć Brada znałam bardzo słabo, a jego dziewczynę widziałam po raz pierwszy w życiu, ich towarzystwo sprawiło mi dużą ulgę - przynajmniej nie byłam sama z Carterem! Brad przebrał się za jednego z bohaterów *Star Trek*. Mandy, mała urocza brunetka, była gwiazdą muzyki punk. Kwitowała chichotem wszystko, co powiedział Brad, całkiem jakby był największym komikiem świata. Nie miałam złudzeń; w swoim czerwonym kapturku wyglądała jak postać z zupełnie innej bajki.

Wielka wiktoriańska willa Davisow stała w dzielnicy zamieszkiwanej przez bogatych lekarzy i prawników. Była naprawdę wspaniała, z mnóstwem wieżyczek i innych dekoracji. Podjazd przed domem miał kształt koła; nietrudno było wyobrazić sobie na nim powozy gości, przybywających na bal. Dziś na miejscu karet stały dziesiątki samochodów. Wyglądało

na to, że Carly zaprosiła pół szkoły. Kiedy wysiadałam, Carter otworzył mi drzwi; zaświtała mi nadzieja, że może przyjęcie nie okaże się aż taką katastrofą.

Na ganku leżało mnóstwo dyń z palącymi się świeczkami oraz manekin, przedstawiający Frankensteina. Brad poklepał go po głowie i powiedział do niego:

- Cześć, przystojniaku!

Mandy zachichotała i spojrzała na mnie wzrokiem, mówiącym: „Ten facet jest niesamowity, prawda?”

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich Carly. W sukni jakby wprost z kart „Przeminęło z wiatrem” i z jasnymi włosami upiętymi na czubku głowy wyglądała niezmiernie. Wyszła na ganek i poruszyła omdlewająco wachlarzem.

- I cóż my tu mamy? - Spojrzała na Brada i uniosła brwi. - Następny ze „Star Trek”!  
Tylko nie to!

- A zatem reszta załogi jest już na miejscu? - spytał Brad.

Mandy - oczywiście - zachichotała.

- Wyglądasz rewelacyjnie, Carly - powiedziałam grzecznie.

Obdarzyła mnie dystyngowanym uśmiechem. Dziękuję ci, Tess. A ty wyglądasz... słodziutko. Jakoś nie zabrzmiało to jak komplement, ale zdołałam się uśmiechnąć.

- No dobrze, dzieci - wtrącił się Carter. - To do roboty!

Razem weszliśmy do środka, pomiędzy kłębiący się tłum rozchichotanych i rozgadanych gości. Zdecydowanie przeważały kostiumy potworów i gwiazd rocka. Carter wziął mnie za rękę.

- Tańce są w sali balowej.

- W sali balowej? - powtórzyłam za nim jak echo. - Macie coś takiego?

Carter wzruszył ramionami.

- Chyba wszyscy mają?

Poprowadził mnie przez zatłoczony korytarz. Wspięliśmy się po schodach. Na górze znajdował się ogromny pokój, pełen ludzi tańczących przy ogłuszającej muzyce, płynącej z głośników na przeciwnej ścianie. Kiedy wmieszaliśmy się w rozbawiony tłum pomyślałam, że może jednak będę się dobrze bawić.

Tańczyliśmy przez jakiś czas, a potem Carter zaproponował:

- Może się czegoś napijesz?

Przytaknęłam z wdzięcznością; gardło wyschło mi już na wiór. Zeszliśmy na dół. Carter zaprowadził mnie do jadalni, gdzie można było znaleźć dosłownie każdy rodzaj chrupek, paluszków i innych niezdrowych przegryzek. Pomyślałam ze współczuciem o

osobie, która będzie jutro sprzątać to pobojowisko. Ale i tutaj nie zatrzymaliśmy się. Carter zaprowadził mnie do ogromnej kuchni, gdzie na stole stał rząd pojemników z lodem. Większość z nich zawierała napoje gazowane, ale w kilku zauważyłam puszkę z piwem.

- Rodzice pozwalają ci pić alkohol? - zdziwiłam się. Carter wyszczerzył zęby.

- Mój stary jest sędzią, ale nie sprawia mi kłopotu. Z tego, co wiem, on sam także nie żałował sobie w młodości. Moi rodzice naprawdę są w porządku, jeśli chodzi o takie sprawy. Kiedy ja albo Carly organizujemy imprezę, po prostu wynoszą się z domu i zostawiają nas w spokoju.

- Twoi rodzice wyszli? - spytałam.

Pewnie wyglądałam na wstrząśniętą, bo Carter roześmiał się.

- No pewnie! Prosimy tylko, żebyśmy nie rozwalili całego domu. - Wyjął z pojemnika dwie puszkę i podał mi jedną.

Nie znoszę piwa i naprawdę nie miałam ochoty go pić, ale nie chciałam też, żeby Carter pomyślał, że jestem nudna, więc odważyłam się i pociągnęłam łyceczek. Carter pił łączywie i po chwili sięgnął po następną puszkę.

- No, do dna, Kapturku. Zostajesz w tyle.

- Dzięki. Już mam dosyć. - Patrzyłam z niepokojem, jak Carter kończy następne piwo.

- A może coś zjemy? - zaproponowałam wesoło. Podeszedł do mnie i objął mnie ramieniem.

- Jesteś głodna, malutka?

Roześmiałam się i wyswobodziłam się z jego objęć. Jego oddech pachniał piwem, a ja zaczęłam się poważnie denerwować. Potem do kuchni wpadli Braci, Mandy i jeszcze parę osób. Zaczęli pić piwo i biegać po kuchni. Chłopcy grali w koszykówkę pustymi puszkami po piwie, rzucając je do zlewu. Przy każdym celnym strzale zaśmiewali się do rozpuku.

Ucieszyłam się, kiedy do kuchni weszła Carly i zmierzyła chłopców spojrzeniem pełnym niesmaku.

- Dosyć tego, półgłówki. Zniszczycie zlew.

- Spokojnie, siostrzyczko. Nie psuj nam zabawy - obruszył się Carter. - Skończył piwo i rzucił puszkę w stronę zlewu. Nie trafił; odbiła się o stojącą dość daleko od celu kuchenkę.

- Powiedziałaś: dosyć, Carter - warknęła Carly. Bez słowa wziął następne piwo, już chyba piąte.

Uśmiechnął się do siostry i rzucił pełną puszkę wprost do zlewu.

- Carter! - wrzasnęła Carly. - To moja impreza, nie waż się jej psuć!

Zsunął na twarz maskę Freddy'ego Kruegera i groźnie łypnął oczami.

- To tak się mówi do psychopaty?

- Błazen - powiedziała jego siostra wyzywająco.

- Dobrze, dobrze. Wychodzimy z tego twojego głupiego balu. Brad, Mandy, zbierajcie się. Będziemy wyc do księżycy - powiedział Carter. Potem nagle przypomniał sobie o moim istnieniu. - Ty też chodź, Kapturku.

Wyszliśmy na podwórko, gdzie ku mojemu przerażeniu Carter i Brad naprawdę stanęli i zaczęli wyc. Zerknęłam na sąsiednie domy, zastanawiając się, co pomyślą o nas ich mieszkańcy. „Kolejna szalona impreza w domu Davisów”?

- Przejdziemy się - postanowił nagle Carter.

Objął mnie. - Albo lepiej: posiedzimy sobie w samochodzie.

- Świetnie! - ucieszył się Brad. Pobiegli razem z Mandy przed główne wejście domu.

- Hm... Carter... - zaczęłam niepewnie. - Nie powinienes prowadzić. Piłeś, no i...

Zdaje się, że go rozdrażniłam.

- Parę piw, wielkie rzeczy. No, ale skoro ci zależy... Niemal zawlókł mnie na okrągły podjazd, gdzie Brad i Mandy czekali już na nas przy jego samochodzie. Carter rzucił koledze kluczyki.

- Masz, bracie. Będziesz prowadzić. Tess i ja siądzie my z tyłu.

To także mnie nie zachwycało, ponieważ Brad pił nie mniej niż Carter. Ten, ledwie tylko usiedliśmy, przyciągnął mnie do siebie i zaczął pokrywać moją twarz mokrymi pocałunkami. Zaczęłam mu się wyrywać i jakoś udało mi się go odepchnąć.

Spojrzał na mnie niechętnie.

- No i o co ci chodzi, Kapturku?

Nie odpowiedziałam. Brad odwrócił się do nas.

- Coś nie tak?

- Pilnuj drogi, koleś - warknął Carter. - Jedźmy na autostradę.

Brad ruszył, trąbiąc przeraźliwie klaksonem, a Carter znowu przystąpił do ataku. Wywinełam mu się. i wbiłam wzrok w okno.

- Czym się tak fascynujesz? - Pochylił się i również wyjrzał. - Czy ten gruchot przed Winn Dixie to nie furgonetka Stoddarda?

Serce zabiło mi mocniej. Odwróciłam głowę i popatrzyłam w stronę sklepu, który przed chwilą mineliśmy. Rzeczywiście, na parkingu stał samochód Luke'a.

- Czy to on cię tak zainteresował? - dopytywał się Carter.

- Aż do tej pory go nie zauważyłam - zaprotestowałam.

Carter prychnął.

- Jasne! Hej, kapitanie Kirk! - wrzasnął do Brada. - Objedź tę dzielnicę i zatrzymaj się przed Winn Dixie, dobrze? Nagle naszła mnie ochota na batonik.

- Carter... - powiedziałam ostrzegawczo.

- Chodzi mi tylko o batonik, rozumiemy się? - ode zwał się niewinnie. - To chyba nie złego?

Brad zrobił to, co mu kazano, a kiedy znaleźliśmy się przed sklepem, Carter zarządził:

- Zatrzymaj się przy gruchocie Stoddarda.

Brad posłusznie zastosował się do instrukcji. Odwrócił się z pytającą miną. Carter wyszarpnął banknot z portfela i podał mu go.

- Kup mi coś, dobrze? Mandy, może z nim pójdziesz? Może potrzebować twojej pomocy.

Oboje wysiedli z samochodu, a Carter krzyknął za nimi:

- I nie spieszcie się z powrotem!

Potem odwrócił się do mnie i wyszczerzył zęby.

- Teraz jesteśmy sami, Kapturku.

- Nie powiedziałabym. - Dziękowałam niebiosom, że Luke nie pojawił się nigdzie w zasięgu wzroku.

Carter przysunął się do mnie i chwycił mnie w objęcia.

- A ja powiedziałabym, że jesteśmy sami. - Przyciągnął mnie i złożył na moich ustach długi, pachnący piwem pocałunek. Kiedy odepchnęłam, zaklął.

- Co się z tobą dzisiaj dzieje, Tess?

- Po prostu nie mam ochoty - warknęłam.

- Jasne. Gdyby tu był Stoddard, pewnie od razu byś zmieniła zdanie.

- Nie bądź świnia, Carter. - Odsunęłam się od niego tak daleko, jak mogłam.

Żadne z nas nie odezwało się ani słowem aż do chwili, gdy Brad i Mandy wrócili do samochodu. Brad rzucił torbę na kolana Cartera.

- Pańskie batoniki, sir. Kupiłem też parę piw. Carter rzucił torbę na podłogę i otworzył drzwi.

- Teraz ja poprowadzę. Ty i Mandy usiądziecie z tyłu - rozkazał, wysiadając z samochodu. - Tess, ty siadasz z przodu.

Brad i Mandy usiedli tam, gdzie im kazał. Wysiadłam i podeszłam do okna od strony kierowcy.

- Posłuchaj, Carter - powiedziałam. - Naprawdę nie chcę z tobą jechać. Zadzwoń teraz do domu, żeby rodzice mnie stąd zabrali.



Carter wytrzeszczył na mnie oczy.

- Że co? Chyba ze mnie kpisz! Zadzwoń do rodziców? W życiu!

Zaczęłam się wycofywać, ale złapał mnie za rękę.

- Wsiadaj! Jedziesz ze mną.

Szarpnęłam się, usiłując wyrwać się z jego chwytu. Za naszymi plecami rozległ się głęboki głos.

- Co tu się dzieje?

Obejrzałam się przez ramię i zobaczyłam Luke'a i jego brata Jasona trzymających w objęciach torby ze sklepu spożywczego.

- Nic - mruknął Carter. - Pilnuj własnego nosa.

- Masz kłopoty, Tess? - spytał cicho Luke.

- Ja... Ja tylko chcę wrócić do domu, to wszystko - powiedziałam niepewnie.

- Zawiozę cię - syknął Carter. - Wsiądziesz do tego samochodu, czy nie?

- Nie! - krzyknęłam. - Nie pojedę z tobą. Z dużo wypieś, Carter. Nie powinieneś prowadzić.

Luke obszedł furgonetkę i wrzucił torby na jej tył. Potem odwrócił się.

- Podwiozę cię do domu, Tess.

- Ach, tak? Po moim trupie! - wrzasnął Carter. Jason spojrzał z nadzieją na swojego dużego brata.

- Tess ma rację, Davis - powiedział Luke wyważonym tonem. - Jeśli pijeś, nie powinieneś prowadzić.

- Dzięki za wykład. - Carter parsknął pogardliwie.

- Ale takie rady powinieneś dawać swojemu staremu, a nie mnie.

Luke zacisnął pięści. Myślałam, że rzuci się na Cartera, ale zdołał się opanować.

- Ty sukinsynu! - Jace zrobił taki ruch, jakby chciał się rzucić na Cartera.

- Jace! - powstrzymał go Luke. - Połóż torby do samochodu.

- Ale...

Starszy brat rzucił mu jedno spojrzenie i Jason powłókł się do furgonetki. Potem Luke spojrzał na mnie.

- Wsiądź do środka, Tess - powiedział cicho.

Wyrwałam się Carterowi i wskoczyłam do samochodu Luke'a. Carter rzucił się za mną, ale Luke chwycił go za ramię.

- Daj spokój, Davis!

Spojrzałam z przerażeniem, jak Carter popycha Luke'a i wymierza mu cios. Ten zrobił

unik i Carter zachwiał się, niemal tracąc równowagę. Jason pojawił się między nimi, gotów do pomocy, ale brat chwycił go za ramię.

- Wsiadaj do furgonetki, Jace - rozkazał. - Ale już! Jason chciał zaprotestować, ale potem posłusznie zajął miejsce obok mnie. Carter opierał się chwiejnie o swój samochód. Luke nie odezwał się do niego ani słowem. Podszedł do furgonetki i usiadł za kierownicą. Kiedy wycofywał się z parkingu, Carter wrzasnął za nim:

- Jesteś śmieciem, Stoddard! Cała twoja rodzina to szumowiny!

Zerknęłam nerwowo na Luke'a, ale nie zareagował. Carter zaczął walić pięściami w maskę samochodu, a ja westchnęłam z ulgą, zadowolona ze szczęśliwej ucieczki. Chociaż, kiedy zerknęłam na Luke'a i ujrzałam jego ponurą minę, nie byłam już taka pewna, czy słowo „szczęśliwa” jest tu na miejscu.

## ROZDZIAŁ 12

Jechaliśmy w pełnej napięcia, drażniącej ciszy. Siedziałam wciśnięta pomiędzy Luke'a a Jasona; wszyscy troje ponuro wpatrywaliśmy się przed siebie. Pierwszy odezwał się Jason.

- Powinieneś mu przylać.

Spojrzałam na Luke'a i zobaczyłam jego grymas.

- Tak? I co by nam z tego przyszło?

- Ten kretyn prosił się o to. Nie powinien tak mówić o tacie - powiedział Jason ze złością, ignorując pytanie brata. Nie doczekawszy się odpowiedzi, mówił dalej: - Walnąłbym go w ten głupi pysk...

- Wiem. Waśnie dlatego kazałem ci wsiadać do samochodu - powiedział sucho Luke.

Jason westchnął z rozpaczą i spojrzał przez okno. Potem odwrócił się do nas.

- Tato zawsze mówił, że nie można uciekać przed walką.

Luke westchnął.

- Nie uciekłem przed walką, Jace. Uniknąłem bójki.

- Co za różnica? Tato zawsze mówił...

- Ale nie zawsze miał rację, prawda? - rzucił gorzko Luke.

Myślałam, że jego brat zareaguje wściekłością, ale on znowu wbił nieruchomy wzrok w okno.

Siedziałam między braćmi jak na szpilkach. Byłam im wdzięczna za ratunek, ale odniosłam wyraźne wrażenie, że obaj mają nie najlepsze zdanie o idiotce, którą musieli uratować. Jeszcze raz zerknęłam na Luke'a; nadal siedział nachmurzony. Na pewno z radością się mnie pozbędzie.

Nie zwracałam uwagi na drogę, więc zdziwiłam się, gdy Luke skręcił w Peach Street i zatrzymał się przed swoim domem. Jason także był zaskoczony.

- Myślałem, że odwozimy Tess do domu.

- Nie, nie odwozimy jej do domu. Podrzuciliśmy zakupy, teraz ty je zaniesiesz, a ja odwożę Tess do domu.

Spojrzałam na Jasona i napotkałam jego spojrzenie. Niespodziewanie uśmiechnął się do mnie.

- Widzisz, jakiego mam surowego brata? - Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy. - Hej, jeszcze ci nie powiedziałem, że ślicznie wyglądasz w tym kostiumie. Nie uważasz, że Tess wygląda ślicznie, Luke? - zwrócił się do brata. Ten nie odezwał się ani słowem, ale Jason nie rezygnował. - Tak się zastanawiam, Tess... Umówiłabyś się z ósmoklasistą? Bardzo

dojrzałym ósmoklasistą?

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

- Zamknij się, Jace - mruknął Luke. Jego brat roześmiał się.

- No co, spytać nie można? No dobra, Tess, będę leciał, bo mój starszy brat zaraz na mnie wsiądzie. - Zniżył głos i dodał: - Widzisz, Luke czasami potrafi dać człowiekowi w kość, ale tak w ogóle nie jest taki zły.

- Jason! - wrzasnął Luke. - Bierz zakupy! Wsiadł razem z bratem, wynieśli z furgonetki torby ze sklepu i zanieśli je do domu. Po chwili pojawił się znowu i wsiadł do furgonetki. Bez słowa przekręcił kluczyki w stacyjce i ruszyliśmy przed siebie.

Milczenie trwało jeszcze jakiś czas. Wreszcie, kiedy Luke wyjechał na autostradę prowadzącą do miasta, poczułam, że nie wytrzymam ani chwili dłużej.

- Luke... - zaczęłam z pewnym ociąganiem. - Ja... chcę ci podziękować za to, że mnie wyratowałeś z opresji.

Luke tylko mruknął. Westchnęłam z rozpaczą.

- Wiesz co, Jason miał zupełną rację! Spojrzał na mnie zdziwiony.

- Czasami potrafisz dać człowiekowi w kość! - Uśmiechnęłam się do niego. - Ale tak w ogóle nie jesteś taki zły.

Zauważyłam lekki uśmiech, błakający się na jego wargach.

- Ostrożnie, Tess. Komplementy mogą mi uderzyć do głowy.

- To już lepiej. - Odetchnęłam głęboko. - Luke, czy możemy znów być przyjaciółmi?

Nastąpiła kolejna pauza.

- Chyba tak, jeśli tego chcesz.

- A czego ty chcesz? - spytałam rozdrażniona. Ale Luke spojrzął tylko w lusterko.

- Ten kretyn wisi mi na zderzaku! - mruknął. Odwróciłam się. Tuż za nami zauważyłam mocne reflektory.

- Nienawidzę czegoś takiego - powiedziałam. - Cze mu ten idiota nas nie wyminie, jeśli tak mu się spieszy?

W tej samej chwili samochód skręcił na inne pasmo i przyspieszył.

- I dobrze! - ucieszyłam się. Ale samochód zrównał się z nami. Rozległ się przenikliwy dźwięk klaksonu. Luke zmarszczył brwi.

- Co jest, do jasnej...

Obejrzałam się i z przerażeniem rozpoznałam samochód Cartera. Przemknął koło nas; wkrótce jego tylne światła zginęły w mroku. Westchnęłam z ulgą. Carter był w takim stanie, że mógł zrobić coś głupiego - wyzwać Luke'a, żeby się z nim ścigał czy coś podobnego.

- Nie powinien prowadzić - rzucił Luke ze złością.

- Wiem. - Zawahałam się. - Posłuchaj mnie, nie kłamałam, że nie mam ochoty iść na bal z Carterem. To był okropny wieczór.

Luke uśmiechnął się do mnie niespodziewanie.

- Cieszę się! To świetnie, że nie bawiłaś się dobrze. Wybuchnęłam śmiechem.

- Tess... - zaczął Luke, już poważniej, ale urwał na widok samochodu, pędzącego z naprzeciwka.

Nie miałam pewności, ale to chyba znowu był Carter.

- Chyba zawrócił - powiedziałam nerwowo.

Samochód zbliżył się do furgonetki i raptownie wjechał na nasze pasmo. Krzyknęłam, a Luke ostro skręcił w prawo. Zjechaliśmy na pobocze; chwyciłam się konwulsyjnie siedzenia i zacisnęłam powieki. Myślałam, że to już koniec. Ale Luke zdołał jakimś cudem utrzymać kontrolę nad pojazdem i zatrzymać go gwałtownie tuż przed balustradą.

Byłam tak przerażona, że na chwilę straciłam zdolność ruchu. Potem przestałam się bać i ogarnęła mnie wściekłość. Obejrzałam się i dostrzegłam samochód Cartera, stojący po drugiej stronie autostrady. Jednym szarpnięciem otworzyłam drzwiczki, wyskoczyłam z furgonetki i zaczęłam krzyczeć:

- Ty palancie! Mogłeś nas zabić!

Chciałam podejść bliżej i pokazać mu, co naprawdę o nim myślę, ale samochód ruszył z impetem i zniknął mi z oczu.

- Idioci! - wrzasnęłam za nim, wygrażając mu pięścią. Potem pomaszerowałam z powrotem i wsiadłam do samochodu. - Uwierzyłyś w coś takiego? - zawołałam.

Nagle zauważyłam, że Luke siedzi na swoim miejscu nieruchomo jak posąg. Miał spuszczoną głowę, a jego ręce zaciskały się kurczowo na kierownicy. Znowu wpadłam w panikę.

- Luke! - krzyknęłam. - Co się stało?

Powoli podniósł głowę i odwrócił się do mnie. Nigdy jeszcze na niczyjej twarzy nie widziałam takiego grymasu bólu.

- Dlaczego to zrobił? Dlaczego? - Jego głos przepełniony był bólem.

Po chwili zrozumiałam, że Luke nie ma na myśli Cartera Davisa. Mówił o Charliem Stoddardzie. Położyłam dłoń na jego ramieniu.

- Luke... - szepnęłam miękko. - Och, Luke... Zamrugnął powiekami i otrząsnął się.

- Przepraszam - powiedział szorstko. - Nerwy nie wytrzymały. Już w porządku.

Zrozumiałam, że Luke znowu zamyka się w swojej skorupie. Uznałam, że to

niedobrze, i odważyłam się zadać mu pytanie:

- Myślałeś o ojcu, prawda? O jego wypadku? Widać było, że Luke toczy jakąś wewnętrzną walkę.

Nagle uderzył pięścią w kierownicę.

- Kompletny idiotyzm! Zalać się i walnąć w drzewo! Ze wszystkich głupich, egoistycznych rzeczy ta jest najgłupsza! - Odwrócił się do mnie. - Tato zawsze mówił: „Będzie, co ma być”, jakby nie miał na nic wpływu. Ale tutaj miał wybór, i zdecydował się, i dopuścił do tego wypadku! - Potrząsnął głową i mówił dalej gorzko: - Rodzina mu nie wystarczała. Musiał mieć jeszcze wódkę... - Jego głos załamał się. Przynęłam się i objęłam go.

- Tak mi przykro - szepnęłam ze ściśniętym gardłem.

Milczał przez chwilę. Wreszcie zdołał się odezwać:

- Kochałem go, Tess, ale on doprowadzał mnie do szału! Nawet teraz, kiedy już nie żyje, nadal doprowadza mnie do szału!

Niespodziewanie zaczął opowiadać o ojcu. Najpierw z wściekłością mówił o jego picciu; potem nadeszły dobre wspomnienia z czasów dzieciństwa. Uśmiechnął się nawet, opowiadając mi o tym.

- Mama mówi, że tato uczył mnie grać na skrzypcach, zanim jeszcze zacząłem chodzić.

Ja też się uśmiechnęłam.

- Już cię widzę: ty jako dzidzius, w śliniaczku i ze skrzypcami pod brodą.

- Tak to musiało wyglądać! - Roześmiał się. Potem uciekł spojrzeniem ode mnie, zawstydzony. - Przepraszam cię - mruknął. - Zanudziłem cię na śmierć.

- Wcale nie. Powinieneś to wreszcie z siebie wyrzucić - powiedziałam miękko.

- Robi się późno. Odwiozę cię do domu, bo twoi rodzice umrą ze strachu. - Włączył silnik i powoli wjechał z pobocza na autostradę. Po chwili zatrzymaliśmy się przed moim domem. Luke spojrzał na mnie. - Bardzo ci dziękuję, Tess.

- Co to ma znaczyć? Przecież to ty mnie uratowałaś, pamiętasz?

Pokręcił głową.

- Za to, że mnie wysłuchałaś. Przecież wiesz.

- A po co mamy przyjaciół? - Uśmiechnęłam się. - Skoro już o tym mówimy, partnerze... zaśpiewajmy na tym konkursie, dobrze? Jesteśmy wspaniałym duetem. Szkoda marnować tyle talentu, prawda?

- Prawda... partnerko. - I wtedy mnie pocałował.

Zarzuciłam ręce na jego szyję i oddałam mu pocałunek. Powtórzyliśmy to z dziesięć razy. Luke uśmiechnął się do mnie.

- Podoba mi się taka praca zespołowa.

- Mnie też! - Parsknęłam śmiechem. - Lepiej już pójdę, bo rodzice zaczęli nas podglądać przez lornetkę.

- Chcesz, żebym poszedł z tobą? Pokręciłam głową.

- Nie, wszystko w porządku. Sama im opowiem o tym, jak piękny księżę przybył na swoim białym rumaku i uratował Czerwonego Kapturka.

- Chwileczkę, drogi Kapturku. - Luke uśmiechnął się. - Chyba poplątały ci się bajki. Ciebie uratował myśliwy, prawda?

- No dobrze, może to nie ta bajka - przyznałam. Pocałowałam go znowu. - Ale i tak znalazłam księcia!

Oczywiście rodzice byli przerażeni, kiedy usłyszeli moją opowieść o zabawie i postępkach Cartera. Sposób, w jaki Luke poradził sobie z sytuacją, zrobił na nich pewne wrażenie, choć nadal mieli co do niego pewne wątpliwości. Ale to mnie nie martwiło. Wiedziałam, że wcześniej czy później nabiorą rozumu. Pewne rzeczy docierają do dorosłych bardzo powoli, sami rozumiecie.

Ale rodzice szybko docenili Luke'a. Na następnej próbie w naszym domu zachowywał się z nieskazitelną uprzejmością, a kiedy trochę się rozluźnił i zaczął żartować, uznali, że jest sympatyczny.

W trakcie tych trzech tygodni, dzielących nas od konkursu, stałam się częstym gościem w domu Luke'a. Z początku było mi trochę dziwnie, kiedy wokół kręciło się tyle osób, ale wkrótce zaczęłam się tam czuć jak we własnym domu. Bracia Luke'a - Jim, Davey, Sam i Jason - nabrali wreszcie indywidualnych cech i przestali wyglądać w moich oczach jak banda hałaśliwych dzieciaków. Oczywiście Jason zawsze się wyróżniał. Nadal bywał czasami dokuczliwy, ale i tak go polubiłam.

Z niepokojem czekałam na spotkanie z matką Luke'a, ale kiedy wreszcie do niego doszło, z ulgą spostrzegłam, że ona boi się mnie tak samo, jak ja jej. Pani Stoddard okazała się cichą, ciemnowłosą kobietą, bardzo podobną do Luke'a. Często miała tak samo poważną i zatroskaną minę, jak jej syn. Szkoda, że uśmiech tak rzadko gościł na jej twarzy.

Annie i ja znalazłyśmy wspólny język. Na jej szóste urodziny, które obchodziła w listopadzie, podarowałam jej pluszowego konika w czarno - białe łaty.

- jest śliczny! - wykrzyknęła i rzuciła mi się w ramiona. - Nazwę go Tess!

Zupełnie mnie tym podbiła. W końcu nie co dzień pluszowe zwierzątko zostaje

nazwane na twoją cześć!

Co do Cartera Davisa, w poniedziałek po zabawie przeprosił Luke'a i mnie. Przyznał, że zachował się jak idiota i że zbyt dużo wypił. Luke przyjął jego przeprosiny łatwiej niż ja - nadal byłam wściekła o to, że omal nas nie zabił. Na razie starałam się przynajmniej na niego nie warczeć. Ale Carter w ogóle się tym nie przejął. Wkrótce zaczął chodzić z Mandy Palmer, która uwielbiała go bez względu na wszystkie szaleństwa, jakie wyprawiał.

Dzień, kiedy miał się odbyć konkurs talentów, nadszedł szybciej, niż się spodziewałam. Byłam nieprzytomna ze strachu. Ja i Luke czekaliśmy w gronie innych wykonawców za kulisami szkolnego audytorium. Zaczęłam tak szybko tupać stopą, że Luke w końcu się roześmiał.

- Mam nadzieję, że na scenie zwolnisz trochę tempo.

- Przepraszam - wymamrotałam. - Mam straszną treść.

Spojrzałam z zazdrością na Carly Davis. Wyglądała jak zwykle ślicznie. I była taka spokojna i opanowana!

- Spójrz na Carly - zwróciłam się do Luke'a. - Ona się nie boi.

- Pozory mylą. Na pewno umiera ze strachu - po wiedział Luke i uśmiechnął się. - Tak jak ja. Kiedy przyjdzie nasza kolej, mogę dostać ataku serca.

Podeszła do nas Lenny.

- Chciałam wam tylko życzyć szczęścia. Wiem, że wam się uda.

- Dzięki, Lenny. - Będę zadowolona, jeśli nie sknocę wszystkiego.

- Nie sknocisz" - orzekła Lenny z mocą. - Ty i Luke jesteście świetni. Carly nie ma przy was żadnych szans. No, to lecę zająć miejsce. Połamcie nogi, słyszycie?

Luke jęknął.

- Przestań, Lenny! Tess może wziąć cię dosłownie. Lenny opuściła nas, a Luke i ja wciąż czekaliśmy.

Wydawało mi się, że minęła cała wieczność, zanim nadeszła nasza kolej. Stanęliśmy w kulisach, a pan Cassin zapowiedział nasz występ.

- A teraz Luke Stoddard i Tess Lawrence zaśpiewają piosenkę napisaną przez Luke'a, „Pościg za miłością”!

Weszłam na scenę na miękkich nogach. Kolana mi się trzęsły, ale kiedy spojrzałam na Luke'a, jego ciepły kochający uśmiech dodał mi odwagi. Zaczęliśmy śpiewać i w tej samej chwili zapomniałam o tremie.

Poczułam, że występ zaczyna sprawiać mi przyjemność. Gdy skończyliśmy, a na widowni zerwała się burza oklasków zrozumiałam, że przed nami otwarła się wspaniała



szansa.

Potem wystąpiło jeszcze parę osób, w tym również i Carly. Wróciliśmy więc za kulisy i znów czekaliśmy. Wiedziałam, jak bardzo Luke potrzebuje pieniędzy z głównej nagrody. Mocno ścisnęłam kciuki.

Wreszcie ostami uczestnik konkursu opuścił scenę. Teraz sędziowie mieli podjąć decyzję. Po chwili za kulisy wpadła dwójka przejętych dzieci.

- Carly! - krzyknęło jedno z nich. - Wyjdź na scenę! Poczułam bolesne uczucie zawodu. A więc Carly Davis zdobyła pierwszą nagrodę. Spojrzałam smutno na Luke'a.

- Naprawdę myślałam, że wygramy.

- O czym ty mówisz? Jeszcze wszystko przed nami.

- Ale Carly...

- Są trzy nagrody, pamiętasz? Carly dostała trzecią. W tej samej chwili kolejny dzieciak zawołał Bobby Marshalla, szkolnego wirtuoza trąbki. Napięcie stało się nie do zniesienia. Chwyciłam rękę Luke'a i ścisnęłam ją mocno.

I wtedy ktoś krzyknął:

- Luke i Tess!

Pozostali uczestnicy zaczęli bić brawo, a my, uśmiechnięci od ucha do ucha, wyszliśmy na scenę. Stał na niej pan Cassin oraz najślynniejszy absolwent liceum Blossom Creek - Tommy Lee Redmond, który okazał się wysokim brodatym mężczyzną w białym garniturze z cekinami na klapach. Uśmiechnął się do nas.

- Moje gratulacje! - powiedział pan Cassin.

- Hej, dzieciaki! - Tommy Lee entuzjastycznie po trzasnął kolejno naszymi dłońmi. - To był najwspanialszy występ. I piękna piosenka!

Widownia wiwatowała, gwizdała i biła brawo. Byłam tak szczęśliwa, że uściskałam dłoń pana Cassina i Tommy'ego Lee Redmonda.

- A ja? - spytał Luke, udając zawiedzionego. Roześmiałam się i chwyciłam go w objęcia.

Pan Cassin podał nam czek, a ja zaczęłam się zastanawiać, jak zmusić Luke'a do przyjęcia całej sumy. On potrzebował tych pieniędzy - ja nie.

Tommy Lee znowu uściśnął nasze dłonie, a potem poklepał Luke'a po plecach.

- Zawsze byłem prawdziwym fanem twojego taty.

- Dziękuję. A on lubił pańskie piosenki.

- Posłuchaj, Luke - ciągnął Tommy Lee. - Jak powie działem, bardzo podoba mi się twoja piosenka. Mam nadzieję, że pozwolisz mi ją nagrać.

Luke otworzył szeroko usta. Wyglądał jak ogłuszony, choć po chwili udało mu się odzyskać przytomność umysłu.

- Chce pan... chce pan nagrać „Pościg za miłością”?

- No właśnie, „bracie. A jeśli okaże się takim przebojem, jak się spodziewam, to stypendium okaże się śmiesznie małą sumą.

Luke był tak wstrząśnięty, że nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Musiałam go wyręczyć.

- To cudownie, proszę pana! - zawołałam. Uśmiechnął się do mnie.

- Mów mi po imieniu, kochanie.

Po zakończeniu konkursu Lenny i inni moi koledzy rzucili się, by nam pogratulować. Za nimi zjawili się moi rodzice i cały klan Stoddardów. Przez tłum przecisnął się ku nam doktor Barry.

- Byliście wspaniali, Tess! - powiedział z uśmiechem.

- To prawda - odezwała się stojąca za nim kobieta. Dopiero kiedy podeszła i uścisnęła mi rękę, rozpoznałam panią McConnell. Była odświętnie ubrana i wyglądała wspaniale.

- Pani McConnell! - ucieszyłam się. - Jak dobrze, że pani przyszła! Nie spodziewałam się!

- Jeff wpadł do mnie kiedyś i wspomniał o tym, że bierzesz udział w konkursie talentów. Zaproponował, żebym przyjechała tu z jego rodziną.

Jak na zawołanie, u boku pani McConnell zjawiała się niska blondynka i dwaj rudzi chłopcy w muszkach.

- To moja żona, Susie - oznajmił doktor Barry. - I moi synowie, Mikę i Billy.

Pani McConnell uśmiechnęła się do mnie smutno.

- Przypominają mi ich ojca i mojego Billy'ego, kiedy byli w ich wieku.

- Mamo! - odezwał się starszy z chłopców. - Pani McConnell powiedziała, że możemy ją odwiedzić. Ma stary domek na drzewie i możemy się w nim bawić, jak tatuś go trochę naprawi. Fajnie, co?

- Bardzo fajnie - potwierdziła pani Barry.

Na odchodnym pani McConnell szepnęła do mnie:

- Ten Luke Stoddard wygląda na dobrego chłopca. Na twoim miejscu trzymałabym się go.

- Właśnie taki mam zamiar. - Uśmiechnęłam się. Odwzajemniła mój uśmiech i odeszła, wsparta na ramieniu doktora. Za nią podążała pani Barry z chłopcami.

Pani Stoddard zaskoczyła mnie, nieśmiało zapraszając moich rodziców i mnie do

swojego domu na placek z orzechów pekanowych. Rodzice zgodzili się, a ja wróciłam z Lukiem za kulisy, skąd zabraliśmy jego gitarę.

- I co, partnerze - powiedziałam. - Udało nam się! Uśmiechnął się do mnie.

- Owszem, partnerko. Mówiłem ci: jesteśmy nie do pobicia.

- Nie mogę uwierzyć, że Tommy Lee chce nagrać twój „Pościg za miłością”. Wiedziałam, że ich podbije my. Teraz możesz nagrywać własne piosenki. Rany, staniesz się bogaty i sławny! - Zamilkłam na chwilę, wyobrażając sobie Luke'a jako gwiazdę muzyki country. - Pewnie zaczniesz nosić garnitury z cekinami, jak Tommy Lee, i będziesz miał mnóstwo wielbicielek podobnych do Dolly Parton i nieprzytomnie w tobie zakochanych.

- A to pięknie. - Luke uśmiechnął się chytrze. Dałam mu kuksańca.

- Masz natychmiast przestać!

Objął mnie, nie przestając się uśmiechać.

- Żartowałem, Tess. Wiesz, że mi na tym nie zależy. - Musnął wargami czubek mojego nosa. - Mam tu dokładnie tyle miłości, ile mi potrzeba.

I pocałował mnie słodko w usta.